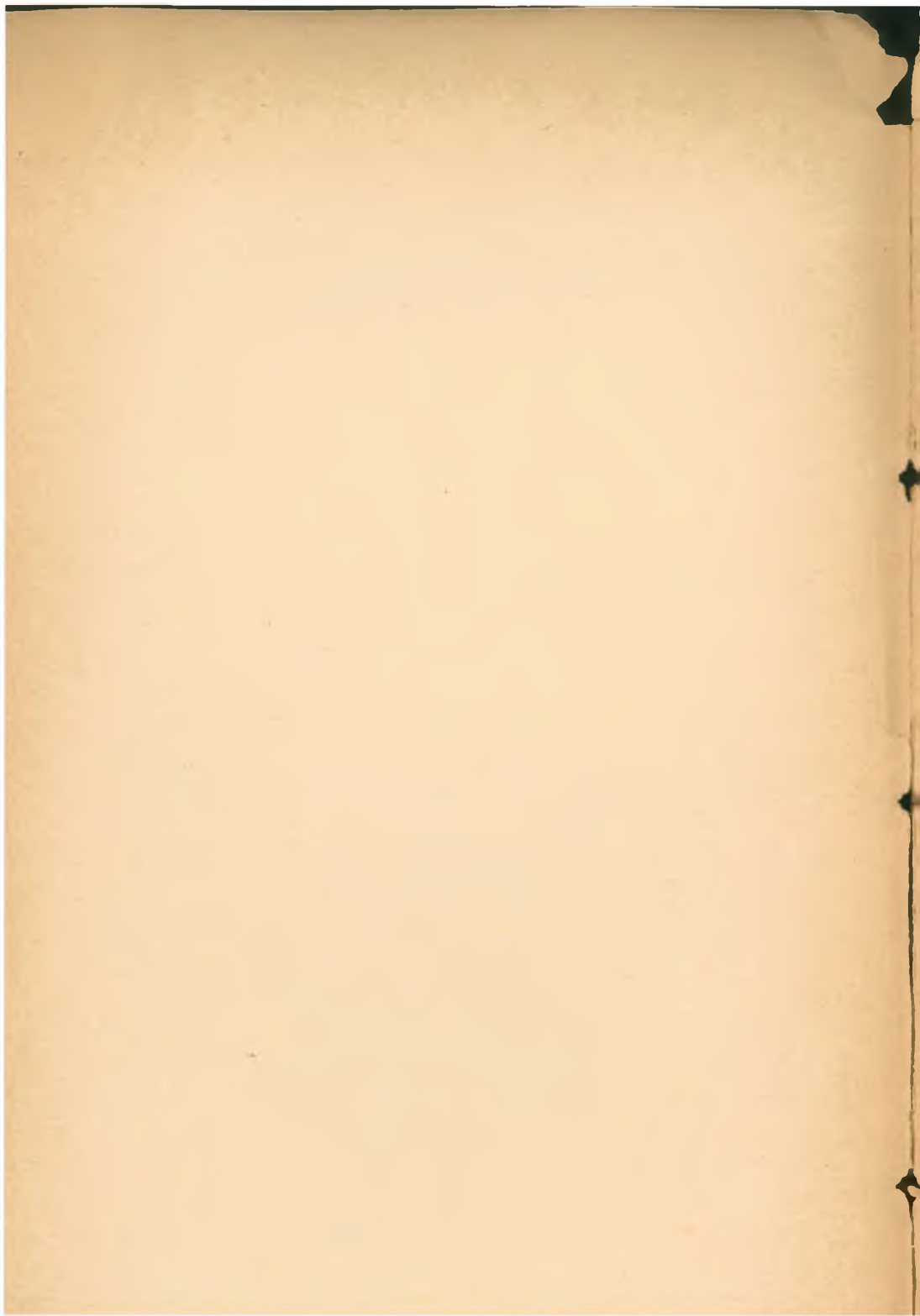


LEON XIII





ST. TARNOWSKI

LEON XIII

KILKA SŁÓW

Z POWODU

pięćdziesiątej rocznicy Jego kapłaństwa

L W Ó W

NAKŁADEM AUTORA

1 8 8 8





65275

Z Drukarni Narodowej w. Manieckiej

Właśnie skończyło się lat dziesięć, jak Pius IX święcił pięćdziesiątą rocznicę swego biskupstwa. Niebawem potem umierał, a następował po nim ten, który obecnie obchodzi swój jubileusz kapłański, Leon XIII. Jak ten przeciąg dziesięciu lat zapisze się i będzie się wydawał w historyi Kościoła, około której od przyjścia Chrystusa obraca się historia powszechna, jak około swojej nie zawsze widzialnej, ale zawsze istotnej osi? Odpowiadać na to pytanie nie mamy zarozumiałości, ale zadać je sobie i nad niem się zastanowić, ma potrzebę i prawo każdy człowiek myślący, ma obowiązek każde katolickie sumienie.

I.

Nieraz zdarzy się słyszeć lub czytać, że Kościół nigdy nie przebywał czasów tak złych, jak dzisiejsze; tak nie jest. Najgorsze dla Kościoła są czasy nie prześladowań i ucisków z zewnątrz, ale zgorszeń wewnętrznych; tych zaś nie ma, owszem, Kościół jest dziś tak budujący dla ludzi a odbuduwujący siebie, jak nie był dawno, jak w tym stopniu może bywał rzadko. Ale jeżeli powiemy, że nigdy (od Karola W. przynajmniej) nie przebywał czasów tak trudnych i walk tak licznych i ciężkich, to będzie prawdą zupełną. Była Awinijonśka niewola, ale większość europejskiego świata uważała ją za niewolę Papieża i Kościoła; była schyzma zachodnia, ale w tej znowu jedna (i większa) część tego świata trzymała się Papieża prawdziwego, prawego następcy św. Piotra; Luter oderwał od Rzymu pół Europy, ale drugie pół skupiło się koło niego tem silniej i broniło jego i siebie; Rewolucya francuska zniosła Kościół, ale we Francyi tylko, a ze zgrozą wszystkich

innych. Napoleon więził Papieża i zabrał jego państwo, ale Europa widziała w tem gwałt, którego na razie odeprzec nie mogła ale naprawić miała chęć i postanowienie, skoro tylko miałyby możność. Dziś Papież nie ma siły tej świeckiej — narodu czy rządu — u której mógłby szukać pomocy i obrony; nie ma wśród panów chrześcijańskich ani jednego, któryby się ujął za jego prawem; dziś nie ma ani jednego katolickiego państwa w Europie. Doktryny, na których chowają się od wieku wszystkie pokolenia, tak nam przeszły w krew, że wierzymy i przekonani jesteśmy na prawdę, jakoby wolność sumienia i wyznań wymagała państwa bez religii. Jednemu człowiekowi ma być wolno mieć i wyznawać jaką chce; społeczeństwo nie powinno mieć żadnej. Postęp jest znaczny i logiczny: z zasiewów Reformacji rozwinęła się nauka i wykształciła w zasadę, że państwo i rząd nie podlega prawom moralnym. Z filozofii XVIII wieku i z rewolucyi francuskiej wyszła nauka i urzeczywistniła się zasada, że państwa i rządy mogą, owszem że powinny być bez wszelkiej wiary. Nie tu czas i miejsce dochodzić, ile w tem winy katolików samych, że się na czas opatrzyć, siebie bronić, sofizmów tych zbijać od początku, *principiis obstarere* nie umieli, albo umieli nie dosyć; tembardziej nie tu czas i nie nasza rzecz dochodzić, czy i o ile ta niemożność dzisiejsza nie jest dla społeczeństw, a zwłaszcza dla dynastij katolickich, skutkiem i karą tej gotowości niesumiennej, z jaką chwyciły się kiedyś owego szczebla pierwszego, owej zasady, że państwo ma swoją moralność osobną, którą jest *racja stanu*. Jednego tylko pominąć nie możemy, bo to miara i dowód szczerości i dobrej wiary tych teoryj o bezreligijności państwa, jej proroków i apostołów.

Państwu, które nie jest katolickiem, wolno jest zachować wyznaniowy charakter, to się wolności i sprawiedliwości nie sprzeciwia. Nie mówiąc o Rosji, bo ta nie zależy od opinii i uchwał parlamentarnych, król

pruski, królowa angielska, mogą bez przeszkody affirmować swój charakter protestancki, przyznawać głośno i jawnie że mają na pieczy interes swojego wyznania, że są jego obrońcami, a nikt im nie przeszkadza, nikt się nie dziwi, ani nie gorszy; cały jak jest liberalizm europejski nie widzi w tem nic złego, żadnej krzywdy dla wolności sumień, żadnej obrazy dla teoryi. Ale gdyby jaki monarcha katolik, chciał affirmować podobnie swoje stanowisko katolickie, zaraz teorya uznałaby się pogwałconą, a wolność i równość wyznań skrzywdzoną. Warto tę okoliczność wziąć za punkt wyjścia do zastanowienia, czy cała teorya o bezwyznaniowej istocie i charakterze państwa, nie jest na to jedynie wymyślona i obrócona, aby społeczeństwa i państwa katolickie religijnego charakteru pozbawić.

Jest więc w Europie jedno mocarstwo schyzmatyczne i dwa protestanckie; nie ma ani jednego (jakiegokolwiek są stosunki liczebne i uczucia jego obywateli), któreby było *de jure* i *de facto* katolickiem. To pierwsza wielka nowość w położeniu Kościoła, nowość obfita w skutki.

Drugą jest upadek władzy świeckiej Papieża, wciele nie patrimonium w nowe Królestwo włoskie i zabór Rzymu. Gwałty były zawsze w historyi, był niejeden spełniony na Papieżu i Papiestwie. Ale gdyby chodziło o fakt, któryby był dał miarę i wyobrażenie moralnego upadku naszego świata, niezdolności czy wyznawania swoich przekonań, czy zgodzenia postępków z przekonaniem, to faktem tym byłoby to powszechne milczenie, wśród którego zawalała się władza świecka. Państwo papieskie, zabrane jak *res nullius* czy *res primi occupantis*, państwo, podstawa i warunek niepodległości tego, którego dwieście milionów nazywa Głową swego Kościoła i Namiestnikiem swojego Boga -- i nikt na to nie mówi ani słowa! Nie przemawia przez nas ani nienawiść Włoch, ani przeczenie ich narodowych praw i dążeń: ale cokolwiek oni mają za sobą, to przeciw sobie mają połączenie sprawy narodowej, ze sprawą rewolucyi i bezbożności, i dla nich, jak dla całej

Europy, sprawa to nie zaszczytna wcale, że król włoski wchodzi do Kwirynału wytrychem otwartego, a wszyscy pozwalają, kłaniają mu się grzecznie, i podają mu rękę. Kiedy się spełnił gwałt w prawie narodów największy, rozbiór Polski, protestował przynajmniej Papież i Turek; kiedy Napoleon zabierał Rzym, protestowali choć w myśli i sumieniu wszyscy. Teraz nikt. Wiemy, że za tym królem słabym stały wielkie potęgi; że Prusy, a może i Rosya, byłyby zagroziły każdemu ktoby był chciał go wstrzymać; wiemy, że tego króla wiodła, pchała, zasłaniała cała rewolucya we wszystkich stopniach i formach; wiemy, że pomagało mu nawet złudzenie ludzi uczciwych, otumanionych zręcznem połączeniem dążeń narodowych Włoch i niektórych praw istotnych, że sprawą zniszczenia Kościoła i wiary. Wiemy to wszystko, i to nadewszystko, że w naszych czasach o moralną stronę spraw pytać nie warto. A jednak mimo tych wszystkich okoliczności, upokarzających raczej niż łagodzących, zaprzeczyć niepodobna, że obojętność, z jaką świat patrzył na zabór Rzymu, jest jednym z faktów najdziwniejszych i najgorzej o sumieniu i honorze Europy świadczących, jakie historia kiedykolwiek miała do zapisanania.

W ślad za tem logiczne następstwa, i odkryte już dążenie do celu. Obalenie władzy świeckiej było wielkim, ale nie ostatecznym tryumfem; celem poniekąd, ale zwłaszcza środkiem, środkiem do rozprzężenia, do dezorganizacji Kościoła. Złudzenie, które nam wszystkim, a przynajmniej wielu pozwalało mniemać, że w sprawie włoskiej celem jedynym było wyswobodzenie się z pod rządów obcych, nie może się ostać wobec szczerze przez Mazziniego, a za nim przez łóżę mularskie we Włoszech wielokrotnie przyznanych zamiarów, „że ich cel ostateczny jest ten sam, co cel Voltaira i Rewolucyi francuskiej: zagłada zupełna katolicyzmu i samej idei chrześcijańskiej.“

Praktyka zaczęła się kolejno we wszystkich zajętych częściach Włoch, i w tych, które oderwano od Państwa

papieżkiego: zabór dóbr kościelnych, zniesienie sądów duchownych, poddanie wszystkich zakładów i fundacyj duchownych pod dozór i zarząd świecki, zniesienie zakonów i rozpędzanie zakonników, małżeństwo cywilne, wychowanie bez wpływu i dozoru kościoła, prasa jednomyślna i wściekła, a nigdy nie hamowana w napaściach na Kościół, w bluźnierstwach przeciw wierze; księża kuszeni obietnicami do odstępstwa, a prześladowani gdy nie odstąpili; wszystko to (a wymieniamy tylko cokolwiek dla przypomnienia) działo się od pierwszej chwili aneksyi. Ale odkąd Francya przestała strzedz Rzymu, a Rzym był zajęty, nie było już na kogo się oglądać i kogo się wstydzić, i dzieło szło naprzód śmiało, bez żadnej już obawy i względu. Energia w tej walce była tem łatwiejsza, bohaterstwo tem piękniejsze, obelgi tem szlachetniejsze, że Papież był zupełnie bezbronny i opuszczony przez wszystkich.

We Włoszech więc szturm na Kościół ze wszechstron naraz: najgłośniejszy, najwściekleszy w Rzymie. Francya zaledwo opłaciła się Prusakom, pomyślała o tem, że godność i honor nakazują jej iść w ślady wielkiej rewolucyi; przypomniała sobie dawne hasło Voltaira *écraser l'infâme*, i wzięła się „nową republikę kształcić“ a wolność (!) zabezpieczać zamykaniem klasztorów, rozpędzaniem zakonników, wyrzucaniem religijnych nauk ze szkoły, a religijnych pociech ze szpitala nawet... postęp i wolność wymagały koniecznie, żeby nie było krzyża tam gdzie się dzieci uczą księdza tam, gdzie ludzie umierają. Kiedy cesarstwo niemieckie zbrojne od stóp do głów stało za Renem i dwa razy omal go nie przeszło, kiedy barbarzyńska anarchia głośno odgrażała się powtórzeniem na większą skalę tego co zrobiła w r. 1871, osobliwszy patryotyzm republikański powtarzał Francyi przez usta swego trybuna, że jej prawdziwym i głównym nieprzyjacielem jest ksiądz.

W Niemczech protestancka nienawiść Kościoła i passya owładnięcia go przez państwo, nie mogły nie korzystać z takiego zbiegu okoliczności. Wydały mu też zaraz tę walkę, którą nazwały walką o cywilizację. Że ją podniosły bez potrzeby i bez korzyści dla siebie, spostrzegły się z czasem przebiegłe Prusy i wycofały się bez zupełnego, bez takiego, o jakim marzyły, tryumfu. Ale swojemi majowemi prawami zburzyły organizację Kościoła: z wyjątkiem dwóch, spędziły wszystkich biskupów ze stolic, ogołociły tysiące parafij z proboszczów, samozwańców nasłały, seminaria zamknęły, zakony wypędziły, poroniły (mniemając, że urodziły) jakąś nową czy starą niby katolicką wiarę; w tem się tylko pomyliły, że mniemały rozbić Kościół, a one go tylko burzyły. Ale burzyły dobrze, jak one umieją, systematycznie, gruntownie, dokładnie. Prześladowanie nie było krwawe, ale też tylko tego brakło; a było bardziej umiejętne, bardziej sięgające do samych podstaw i istoty rzeczy, niż niejedno krwią oblane i krwią zapisane w dziejach.

Pod rządem rosyjskim nie brakło ani tego. Jeszcze za Mikołaja Rossya bała się opinji; czuła, że nikt w Europie nie uważa jej za równą w cywilizacyi; chciała za taką uchodzić i kryła się ze swemi okrucieństwami lub się ich przynajmniej wypierała. Ale odkąd podchlebstwem pozwolono jej grać rolę cywilizacyjnej równości, odkąd z nogą na gardle dławionej Polski, ze zwycięzkimi Prusami w przymierzu, stała się bardziej niż kiedykolwiek groźną jednym a drugim potrzebną, przestała dbać o opinię lub się jej bać, i przestała zachowywać pozory. Prześladowanie religijne, dążące logicznie i energicznie do rozprzężenia i rozkładu Kościoła, zaczęło się bez żadnej już osłony zaraz w r. 1863, a z zaborem Rzymu przybyło odwagi; przyszła myśl, że pora sposobna jak rzadko, i w dylececzach unickich obficiejsz niż za Mikołaja zaczęła się lać krew. A kiedy w zmarzłą ziemię rosyjską wsiąkała krew Aleksandra II, nie polską ręką wytoczona, kto wie,

czy nieszczęśliwy nie wspomniał, że są uczynki wołające o pomstę do Boga.

Cztery wielkie mocarstwa w otwartej walce z Kościołem, inne w trwodze i w niemożności obrony; wojna prowadzona nie przez rządy i parlamenty tylko, ale na ochotnika przez społeczeństwa same, przez prasę, przez naukę: — Państwo Kościelne zabrane, Papież w Watykanie jednym bezpieczny i pan swojej woli, оголоcony naturalnie z dochodów i środków działania: Głowa Kościoła bez możności nadawania ruchu członkom tego ciała i rządzenia nimi podług woli, bo członki albo skrepowane, albo pokaleczone; oparcia nigdzie, pomocy znikąd: tak było przez ostatnie lata życia Piusa IX i w chwili jego śmierci.

Conclave i elekcyja odbyły się spokojnie — nadspodziewanie może spokojnie. Naturalnem było przypuszczenie i troska, że rewolucya włoska zechce skorzystać ze sposobności i nie dopuści do wyboru Papieża; jednak przemógł dobrze zrozumiany interes własny. Rząd włoski, rewolucyą stworzony i zawsze jeszcze bardzo jej potrzebny, brał przed światem odpowiedzialność za wolność Kościoła i bezpieczeństwo Papieża; dawał jakieś rękojmie, w które nie wierzył nikt, ale on musiał udawać, że sam wierzy: potrzebował wydać się rządem regularnym i przyzwoitym, słownym, silnym przytem i rzeczywistym, rządzącym i kierującym. Przytem rozum i sam patryotyzm włoski wskazyją mu, jak wiele zależy na tem Italii, jej stanowisku i powadze w świecie, żeby została zawsze siedzibą Papieża, środkowym punktem Kościoła. Potrzebował rząd zatem, żeby elekcyja odbyła się swobodnie; a rewolucya, która jego znowu potrzebuje, raczyła być wyrozumiałą na tę potrzebę i nie żądała wszystkiego naraz. Wyjątkowa krótkość conclave i łatwość wyboru, była oczywiście skutkiem roztropności kardynałów, i zrozumienia, że w położeniu tak trudnem nie ma czasu do tracenia; każdy dzień może sprowadzić zmianę w usposobieniu tych co otaczają i pchają

rząd włoski, każda zmiana może spowodować niebezpieczeństwo.

Kardynał Pecci, który w takiej chwili obejmował rząd Kościoła jako Leon XIII, pochodził z dawnej szlacheckiej rodziny, zamieszkałej w Carpineto (w pobliżu Viterbo) i mającej swoje posiadłości koło tego miasteczka. Był czwartym z rzędu synem a szóstym dzieckiem Ludwika Pecci, pułkownika w gwardyi włoskiej Napoleona i Anny Prosperi-Buzi *). Urodzony 2-go marca r. 1810, dostał na chrzcie imiona Joachima Wincentego i tem drugiem imieniem wołany był przez całą swoją młodość. Szkoły odbywał u Jezuitów w Viterbo a następnie w Rzymie, i od najniższych klas odznaczał się pociągami i zdolnością do mówienia i pisania po łacinie. Kiedy uczniowie mieli występować uroczystość z oracyami lub wierszami, łatwość kompozycji i elegancja stylu małego Pecci sprawiała, że jemu zawsze powierzano rolę oratora. To upodobanie i tę doskonałość w łacinie zachował ówczesny uczeń przez całe życie, na stolicy biskupiej w Perugii, i na papieskiej w Rzymie. W r. 1823 (trzynastym życia) stracił matkę, która (jak świadczą ci, co z własnych jego ust słyszeli), położyła fundament wiary i pobożności w jego duszy, duszy i życiu nadała kierunek. Dalsze nauki w Collegium Romanum (trzy lata filozofii); w r. 1830 poszedł na teologię, ze stanowczem już powołaniem duchownem, ale nie zakonnem. I kiedy o trzy lata starszy brat Józef (dziś kardynał Pecci) wstąpił do Jezuitów, on choć tak samo wychowaniec zakonu, chciał być księdzem świeckim. W tym czasie przestał używać imienia Wincentego, a zaczął nosić właściwie pierwsze, Joachima. W r. 1832 został doktorem teologii i z tym stopniem już wszedł jako uczeń na lat pięć do akademii duchownej. Świecenia dyakońskie przyjął

*) Wszystkie szczegóły biograficzne czerpiemy z dzieła Amerykanina Dra Bernarda O'Reilly, we francuskim przekładzie *Vie de Léon XIII*. Paris 1887.

w dzień św. Stanisława Kostki, u jego grobu (w Sant-Andrea in Monte Cavallo); 31 grudnia tegoż roku, 1837, z rąk tegoż samego kardynała-wikaryusza (Odescalchi) święcenia kapłańskie.

Zaledwo wyświęcony, w lutym 1838 dostał przeznaczenie na delegata (gubernatora cywilnego) do Beneventu. Małe to terytorium papieskie, w środku posiadłości neapolitańskich, było do rządzenia trudne i niebezpieczne, bo jako zagraniczne, było bardzo wygodne dla neapolitańskich rozbójników i przemytników, którzy tu szukali schronienia i założyli sobie podstawę operacyi. Głowę największej bandy rozbójników, niejakiego Collettę, potrafił zręcznie z nienacka z towarzyszami otoczyć i ująć, co innym dało do myślenia. Umiał także (co może było trudniej) zastraszyć różnych miejscowych potentatów, którzy z zameczków swoich dawali opiekę popularnym brygantom, a delegatowi grozili bądź zemstą, bądź zaskarżeniem przed Papieżem. Kiedy przywrócił swojemu kraikowi najpotrzebniejsze jakie takie bezpieczeństwo, wziął się zaraz do jego dobrobytu: pobudował gościńce, które łączyły Benevent z neapolitańskimi i otwierały produktom większe i liczniejsze targi; wyjednał znaczne niżenie podatków; słowem, w tym swoim pierwszym obowiązku występuje jako organizator i administrator, a w tem uwolnieniu Beneventu od rozbójników, przypomina na małą skalę Syxtusa V.

Trzy lata tylko trwały tu jego rządy. Okazał się zdolnym i sprężystym, Grzegorz XVI przeniósł go na szersze pole działania, w tym samym charakterze delegata do Perugii (w roku 1841). Późniejszy długoletni biskup, poznawał naprzód swoją przyszłą dyecezyę jako urzędnik cywilny. I znowu jak w Benevecie wziął się dzielnie do rzeczy. Rozbójników tu nie było, ale było sądownictwo w smutnym stanie zaniedbania i ośpałości; sprawiedliwość szybka i łatwa była pierwszą naprawą, o jaką postarał się msgnr. Pecci, a z takim

skutkiem, że do roku wszystkie sprawy zaległe były rozsądzone, a przez pewien przeciąg czasu nie było ani jednego podsądnego, ani skazanego w więzieniach Perugii. Reorganizował i podnosił szkoły, bił drogi, jak niegdyś w Benevenzie (wyjazd pod stromą górę do Perugii, przedtem nader uciążliwy podobno a dziś wspinały, jest jego dziełem), zakładał kasy oszczędności (pierwszą w Perugii własnym funduszem): kiedy w roku 1843 Grzegorz XVI mianował go arcybiskupem (Damietty *in part. inf.*) i nuncyuszem apostolskim w Belgii.

Ta nuncyatura, to jedyny pobyt Leona XIII za granicami Włoch. Trwał on półtrzecia roku. Głównem zadaniem nuncjusza było w ustawicznej tam (a podówczas już żywej) walce między katolikami a nieprzyjaciółmi Kościoła, pod nazwą liberalnych, bronić jego praw i strzedz żeby go, o ile się da, najmniej skrzywdzono. Głównym przedmiotem sporu było podówczas wychowanie. Nuncyusz nie przyczynił się do założenia katolickiego uniwersytetu w Leodyum (prywatnemi środkami założonego i utrzymywanego), trafił już tylko na jego otwarcie. Ale zdołał uratować choć w części naukę religii i katolicki nad nią dozór w szkołach średnich; załagodził spór powstały między uniwersytetem Leodyjskim a Jezuitami (o wyłączne prawo do nauczania filozofii); wreszcie za jego sprawą założonem zostało w Rzymie *Collegium Belgijskie*, najdzielniejszy i najpewniejszy środek ożywienia i utrzymania ducha w młodem duchowieństwie, pomoc jedna z głównych zapewne w tej walce, którą katolicy belgijscy do dziś dnia prowadzić są zmuszeni.

Krótki pobyt w Anglii, gdzie właśnie rozpoczynał się zwrot ku katolicyzmowi, gdzie późniejszy kardynał Wiseman stawiał pierwsze kroki jako wikaryusz generalny — (biskupów katolickich wtedy nie było) — a jego następcą kardynał Newman tylko co był się nawrócił, stosunki zawiązane z tym zarodem akcji katolickiej, której dalszy postęp Leon XIII miał uwieńczyć przywróceniem

hierarchii biskupiej w Szkocyi, to epizod wtrącony, ale ważny — zapewne w dziejach tej dyplomatycznej misyi, przerwanej niespodziewanym wypadkiem. Pod koniec roku 1845 umarł biskup w Perugii; dyecezya wysłała deputacyę do Grzegorza XVI z prośbą, żeby jej dał msgnra Pecci. Papież zrobił to zależnem od woli jego samego, który jako arcybiskup był już wyższym w randze, a jako nuncyusz, miał widoki otwarte na kardynalski kapelusz. Zapytany przyjął biskupstwo, a prekonizowany w styczniu r. 1846, porzucił zawód dyplomatyczny i Belgię. Po drodze zatrzymał się w Paryżu; do Rzymu trafił właśnie na chwilę, kiedy Grzegorz XVI zapadł w chorobę, z której już nie miał powstać. Śmierć papieża, conclave, elekcya Piusa IX, mianowanie nowego sekretarza Stanu, przed którym teraz byłemu nuncyuszowi wypadło zdawać sprawę z nuncyatury, wszystko to opóźniło nowego biskupa, tak że dopiero w lipcu r. 1846 objął tę stolicę, na której miał zostawać przez lat trzydzieści.

Zaledwo objął rządy dyecezji, wydał w r. 1847 list pasterski, którego treścią była cywilizacya chrześcijańska i społeczeństwo świeckie, który w krótszym wykładzie zawiera te same myśli i zasady, co sławna encyklika Leona XIII z r. 1878. W r. 1848 w Perugii, jak w Rzymie, rewolucya wzięła górę; ale kiedy po zwycięztwie pod Nawarrą wojska austriackie przywracały dawny stan rzeczy, i kiedy zbliżały się do Perugii, biskup wtedy wyruszył ze swego miasta, udał się naprzeciw nich i namową swoją skłonił generała dowodzącego, że się z drogi zawrócił. Nie chciał, żeby obcy żołnierz przywracał porządek; nie chciał jego widokiem upokarzać i odstręczać mieszkańców; nie chciał wreszcie narażać miasta na nieznane a łatwo przypuszczalne niebezpieczeństwa. Wypadki roku 1848 rzuciły wprawdzie światło na przyszłość i zapowiedziały to, co się później spełnić miało; ale przeszły prędko jak burza i względny spokój powrócił na lat dziesięć. Synod biskupów umbryjskich, odbyty w Spolecie w r. 1849, zdawał

skutkiem, że do roku wszystkie sprawy zaległe były rozsądzone, a przez pewien przeciąg czasu nie było ani jednego podsądnego, ani skazanego w więzieniach Perugii. Reorganizował i podnosił szkoły, bił drogi, jak niegdyś w Benevencie (wyjazd pod stromą górę do Perugii, przedtem nader uciążliwy podobno a dziś wspinały, jest jego dziełem), zakładał kasy oszczędności (pierwszą w Perugii własnym funduszem): kiedy w roku 1843 Grzegorz XVI mianował go arcybiskupem (Damietty *in part. inf.*) i nuncyuszem apostolskim w Belgii.

Ta nuncyatura, to jedyny pobyt Leona XIII za granicami Włoch. Trwał on półtrzecia roku. Głównem zadaniem nuncyusza było w ustawicznej tam (a podówczas już żywej) walce między katolikami a nieprzyjaciołmi Kościoła, pod nazwą liberalnych, bronić jego praw i strzedz żeby go, o ile się da, najmniej skrzywdzono. Głównym przedmiotem sporu było podówczas wychowanie. Nuncyusz nie przyczynił się do założenia katolickiego uniwersytetu w Leodyum (prywatnemi środkami założonego i utrzymywanego), trafił już tylko na jego otwarcie. Ale zdołał uratować choć w części naukę religii i katolicki nad nią dozór w szkołach średnich; załagodził spór powstały między uniwersytetem Leodyjskim a Jezuitami (o wyłączne prawo do nauczania filozofii); wreszcie za jego sprawą założonem zostało w Rzymie *Collegium Belgijskie*, najdzielniejszy i najpewniejszy środek ożywienia i utrzymania ducha w młodem duchowieństwie, pomoc jedna z głównych zapewne w tej walce, którą katolicy belgijscy do dziś dnia prowadzić są zmuszeni.

Krótki pobyt w Anglii, gdzie właśnie rozpoczynał się zwrot ku katolicyzmowi, gdzie późniejszy kardynał Wiseman stawiał pierwsze kroki jako wikaryusz generalny — (biskupów katolickich wtedy nie było) — a jego następcą kardynał Newman tylko co był się nawrócił, stosunki zawiązane z tym zarodem akcyi katolickiej, której dalszy postęp Leon XIII miał uwieńczyć przywróceniem

hierarchii biskupiej w Szkocyi, to epizod wtrącony, ale ważny zapewne w dziejach tej dyplomatycznej misyi, przerwanej niespodziewanym wypadkiem. Pod koniec roku 1845 umarł biskup w Perugii; dyecezya wysłała deputacyę do Grzegorza XVI z prośbą, żeby jej dał msgnra Pecci. Papież zrobił to zależnem od woli jego samego, który jako arcybiskup był już wyższym w randze, a jako nuncyusz, miał widoki otwarte na kardynalski kapelusz. Zapytany przyjął biskupstwo, a prekonizowany w styczniu r. 1846, porzucił zawód dyplomatyczny i Belgię. Po drodze zatrzymał się w Paryżu; do Rzymu trafił właśnie na chwilę, kiedy Grzegorz XVI zapadł w chorobę, z której już nie miał powstać. Śmierć papieża, conclave, elekcya Piusa IX, mianowanie nowego sekretarza Stanu, przed którym teraz byłemu nuncyuszowi wypadło zdawać sprawę z nuncyatury, wszystko to opóźniło nowego biskupa, tak że dopiero w lipcu r. 1846 objął tę stolicę, na której miał zostawać przez lat trzydzieści.

Zaledwo objął rządy dyecezji, wydał w r. 1847 list pasterski, którego treścią była cywilizacya chrześcijańska i społeczeństwo świeckie, który w krótszym wykładzie zawiera te same myśli i zasady, co sławna encyklika Leona XIII z r. 1878. W r. 1848 w Perugii, jak w Rzymie, rewolucya wzięła górę; ale kiedy po zwycięztwie pod Nawarrą wojska austryjackie przywracały dawny stan rzeczy, i kiedy zbliżały się do Perugii, biskup wtedy wyruszył ze swego miasta, udał się naprzeciw nich i namową swoją skłonił generała dowodzącego, że się z drogi zawrócił. Nie chciał, żeby obcy żołnierz przywracał porządek; nie chciał jego widokiem upokarzać i odstręczać mieszkańców; nie chciał wreszcie narażać miasta na nieznane a łatwo przypuszczalne niebezpieczeństwa. Wypadki roku 1848 rzuciły wprawdzie światło na przyszłość i zapowiedziały to, co się później spełnić miało; ale przeszły prędko jak burza i względny spokój powrócił na lat dziesięć. Synod biskupów umbryjskich, odbyty w Spolecie w r. 1849, zdawał

sobie sprawę z tych niebezpieczeństw i wyraził to w adresie do Papieża, natchnionym (może i napisanym?) przez biskupa Perugii. Ale kiedy spokój nastał, wypadło, zanim przyjdzie wybuch nowy, korzystać z czasu, żeby Kościół i każdą duszę z osobna umocnić, uzbroić, uzdolnić do obrony. Ten też był charakter i dążność główna rządów biskupich dzisiejszego Papieża. Nie myślimy opowiadać ich tutaj; wspomnieć tylko możemy jednym słowem, że jego troską główną było wychowanie dobrych księży i religijne wychowanie ludu, utwierdzenie go w wierze na czasy prześladowań i pokus: czyli seminarya i szkoły wszystkich stopni, a szczególnie książki szkolne. Staranie uwieńczone takim skutkiem, że jego seminaryum miało sławę, jakoby wydawało największą może we Włoszech liczbę zdolnych i świętobliwych księży; jego dycezyja miała sławę jednej z najbardziej kwitnących i budujących. Ze szczególną zaś pilnością dbał o gruntowną naukę, o prawdziwe wykształcenie swego duchowieństwa. To odrodzenie filozofii chrześcijańskiej, któremu Leon XIII dał impuls tak potężny i ogarniający cały świat, zaczęło się w Perugii, gdzie biskup wprowadził wielkie studyum św. Tomasza, w seminaryum zrazu, z czasem w założonej umyślnie osobnej akademii św. Tomasza.

W roku 1854 został kardynałem. W r. 1859, kiedy się zabierało na wojnę, a roztropni przewidywali, że pod pozorami narodowego wyswobodzenia, kryje się zamiar głębszy, zniweczenie Kościoła, uprzedzał biskup Perugii ten zamiar i wszystkie argumenta przeciwników listem pasterskim o prawowitości i konieczności władzy świeckiej Papieża. Oczywiście, wszystko to zostało bez skutku; wypadki były zbyt dobrze i oddawna przygotowane. W samej Perugii wybuchły w czerwcu 1859 r. rozruchy, na razie łatwo uspokojone, skoro wojsko piemonckie było daleko, ale zapowiadające niedaleką przyszłość.

14-go września 1860 r. ukazało się wojsko włoskie pod dowództwem generała Fanti, ministra wojny, pod mu-

rami Perugii. Słaba załoga bronić się długo nie mogła; ale nie chciała oddać miasta bez obrony. Dla przemagającej siły i dobrej artylerii, wzięcie Perugii było żartem; niebawem wojsko włoskie było w środku miasta, załoga zamknęła się w cytadelli. Rozpoczęto bombardowanie, którego prośby biskupa przerwać nie mogły; nie pozostało mu jak swoich skłonić do kapitulacji, której honorowe warunki sam układał i otrzymał.

Od tego dnia (15 września) rozpoczął się jego prawdziwy krzyż. Nie mówiąc o istnym zalewie miasta i całej diecezji przez tłumy rewolucyjnych ciurów, ciągających za armią, bezczelnych w żądaniach jak w przesładowaniach, przez proklamacye dzienniki i książki bezczelne w obelgach i w potwarzach, a wyrachowane na zepsucie ludności, zaczęło się w październiku zaraz tego samego roku ogłaszanie ustaw piemontkich; pierwsza była o małżeństwie cywilnem i nakładała surowe kary na księży nieposłusznych. Za tem poszedł zabór dóbr kościelnych nadzór rządu nad seminaryami, poddanie kleryków obowiązki służby wojskowej, placet królewski przy nominacji proboszczów, administratorów, wikarych — wreszcie zniesienie zakonów.... oto co zapełniło pierwsze lat kilka.

Obrona była dzielna i nieustająca. Rozpoczął ją adres biskupów umbryjskich do Papieża, przyrzeczenie niezłomnej, cobyłdźby się stało, wierności i stałości, a w ślad za tym ogólnym programem (żeby się tak po świecku wyrazić), poszedł szereg protestacyj, zwróconych już wprost do rządu włoskiego. Pierwsza była znowu zbiorowa wszystkich biskupów z zajętych prowincyj (w grudniu 1860), druga samego już biskupa Perugii, wymierzona wprost do króla Wiktora Emanuela, a przeciw (głównie) ślubom cywilnym; ta ostatnia imponująca zarówno śmiałością jak siłą argumentacji i wymowy. Nie wspominamy dalszych; było ich wiele, były zawsze ile razy zdarzył się gwałt nowy, a skutku naturalnie nie odnosiły żadnego. Ale

jeżeli bez nadziei skutku, z obowiązku tylko i dla spokoju własnego sumienia, nie zanieczywał kardynał Pecci starań u nieprzyjaciela, to tem mniej mógł zanieczywać te środki obrony, które zależały od niego i od wiernych, i mogły mieć skutek. Że wiernych, a przedewszystkiem księży, utwierdzał we wszystkich obowiązkach, to rozumie się samo z siebie; ale wierność i żarliwość największa nie wystarczy bez praktycznych i roztropnych wskazówek jak się zachować w czasach tak trudnych, żeby się nie sprzeniewierzyć, a nieprzyjacielowi nie dostarczyć pozoru do nowych prześladowań. Zmysł praktyczny i zaradność biskupa wzbudzały w tych okolicznościach najżywsze podziwienie. Rząd przyznał sobie dozór nad nauką seminarzystów, oczywiście w tym zamiarze, żeby naukę i examina utrudniać, święcenia opóźniać, a przez to żeby dycezyom dostarczać jak najmniej księży. Zaledwo to rozporządzenie wyszło, kardynał Pecci zmienił plan nauk w seminaryum i tak go zręcznie do wymagań rządowych stosował, tak pilnie doglądał nauki kleryków, że władze rządowe żadnej przyczepki znaleźć nie mogły. To było względnie łatwe, bo zależało w przeważnej części od niego samego. Ale kiedy wyszło prawo rozciągające obowiązek służby wojskowej na kleryków, albo kiedy wszystkie dobra i dochody kościelne były zabrane, co wtedy? co robić? Zkąd wziąć na to, żeby kleryków wykupować od wojska, albo żeby księży (zwłaszcza starych i chorych) ratować od niedostatku? Biskup zaczął od tego, że dał przykład: z własnych (oczywiście już bardzo szczupłych) dochodów przeznaczył znaczną część na te dwa cele. A potem odwołał się do wiernych, utworzył komitet do wykupowania kleryków, stowarzyszenie miłosierne do wspomagania starych, chorych, na niedostatek skazanych księży. Kiedy znowu za zniesieniem zakonów poszedł wielki ubytek w pracy około dusz (zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach), kiedy spowiedzie, kazania, katechizacye były niezmiernie przez to utrudnione, a niezmier-

nie na odwrót ułatwione działanie wpływów bezbożnych, zawiązał między księżmi stowarzyszenie kaznodziei, które miało za cel podwojoną gorliwością nadstawić co ubyło, i wszędzie do najmniejszego zakąta szerzyć nieustanną posługę duchowną. Dzienniki, pisma, i kluby odwracały wszelkimi siłami ludność (zwłaszcza rzemieślniczą) od wiary i Kościoła; kardynał Pecci spróbował klin klinem wybijając, i zaprowadził w Perugii (za jej przykładem po innych miastach) tak zwane *Ogrody św. Filipa Nereusza*, towarzyskie kółka dla rzemieślników, zwłaszcza dla młodych. Kiedy wreszcie rząd zniósł naukę katechizmu po szkołach i szkółkach (bo to oczywiście religijny przymus wykonywany na dziecku i bezprawne ograniczenie wolności jego sumienia!), zastąpił ją jak mógł nauką, dawaną częściej i energiczniej przez duchownych przy każdym kościele. Nie przytaczamy wszystkiego, nie mamy ani na to miejsca, ani nawet zamiaru dokładnego opowiadania; cytujemy tylko przykłady. Nie przypominamy też, bo nie ma potrzeby, że od zajęcia Rzymu prześladowanie stało się naturalnie i śmielszem, i otwartszem, i gwałtowniejszem, niż było. Jednem z piękniejszych jego aktów, było prawo o nadużyciach wolności słowa, uchwalone w roku 1877. Obawiano się, że jubileusz Piusa IX może silnie działać na uczucia i na wyobraźnię Włochów; że stosunki włoskie zbliższe widziane, mogą zaszkodzić rządowi w opinii, gdyby liczni cudzoziemcy rozszerzyli po świecie swoje wrażenia i spostrzeżenia. Zagrożono więc surowemi karami każdemu, a zwłaszcza księdzu, któryby sobie pozwolił odezwać się z naganą rządu. Tym sposobem każdy ksiądz, któryby na kazaniu wspomniął o prześladowaniu Kościoła, o zaborze Rzymu, o uciemieniu Papieża, narażał się na niebezpieczeństwo. Odbywał się jednak ten jubileusz jako prawdziwy dla Kościoła tryumf i dowód jego siły; w czerwcu udał się do Rzymu i biskup Perugii i w imieniu wszystkich biskupów Umbryi, Marchii i Emilii przemawiał do Piusa IX. Wkrótce potem umierał kardynał de

Angelis, a na jego miejsce mianował Pius IX (we wrześniu) kamerlingiem (a przez to zawiadowcą spraw świeckich na przypadek papieskiego *interregnum*) kardynała Pecci, który skutkiem tego musiał przenieść się z Perugii do Rzymu, ale biskupstwa (choć mu ofiarowano Frascati) nie złożył.

W cztery miesiące później sam został Papieżem.

II.

Jakikolwiek będzie koniec tego co Leon XIII rozpoczął, a skutek tego co zamierzył, to już dziś na pewno wiedzieć można, że ubiegłe dziesięć lat jego panowania będą znaczące i zapamiętane w historii kościoła i świata. Nie będzie to jeden z tych Papieży, jakich było wielu, którzy w Rzymie zostawiają pamięć swoich cnót, w historii kościelnej pamięć swoich starań i zabiegów, ale do wiadomości ludzi świeckich prawie się nie dostają, w zewnętrznych dziejach świata ich nie znać. Tak w wieku XVIII na przykład, imię Benedykta XIV jest pierwsze które więcej znamy; o jego poprzednikach mamy zaledwo jakąś ogólną wiadomość. Następców, występujących już coraz silniej w obronie Kościoła coraz bardziej zagrożonego, znamy lepiej, bo ich więcej widzimy we wszystkich sprawach i wypadkach ich czasów. Taki pośredni tylko udział Papieży w historii powszechnej, możliwy jest w epokach, kiedy Kościół ma spokój (przynajmniej względny); dlatego i pierwszej połowie naszego wieku Piusa VII pamiętamy i znamy lepiej, aniżeli Leona XII lub nawet Grzegorza XVI. Ale o Piusie IX będzie musiała historia XIX wieku mówić niemniej, jak mówi o Grzegorzu VII historia XI, o Inuocentych historia XIII wieku: i o jego następcy — cokolwiek mu dalej Bóg przeznacza — tak samo.

Świat się przeobraża w coś nowego i nieznanego; skutki przeobrażenia odbijają się na Papieństwie, a oni

dwaj — (może niejedyn jeszcze po nich) — wyobrażają i ratują w chaosie niewzruszoność Bożego objawienia, stałość Bożego przykazania, jedność i całość tego Bożego ciała, którem jest Kościół a oni głową. Ta głowa ma za wszystko myśleć, o wszystkim radzić, wszystko poruszać, wszystko jednym duchem ożywiać a jedną wolą kierować, za wszystko odpowiadać. Większej odpowiedzialności nie było i nie będzie na świecie, jak odpowiedzialność Papieża; ani większej jak jego potrzeby wszystkich darów, wszystkich cnót, wszystkich łask i wszystkich mądrości! a cóż dopiero w czasach jak nasze, kiedy wszystkie bezbożności razem walą w Kościół tak połączonymi i tak wielkimi siłami, jak jeszcze nigdy. Anioła-by potrzeba, ducha jakiegoś nadludzkiej natury świętości i mądrości, żeby dał radę; a tymczasem Papież każdy jest tylko człowiekiem, naturę ułomną, siłę niewielką przynosi na swoją stolicę każdy, choćby był najświętszym i najmądrszym z ludzi! W tem właśnie dowód oczywisty, w tem środek przekonania dotykającego, że Kościół jest dziełem Bożem i sprawą Bożą, że nie anioł, ani prorok, ni żaden duch wyższy, ale człowiek prosty ze swoją naturą i siłami, daje radę temu nadludzkiemu ogromowi zadań i obowiązków od wieków już dziewiętnastu. Musi mieć pomoc od samego Boga, musi Duch św. dawać mu światło i siłę, bo ludzka mądrość i siła nie wystarczyłaby ani na tak wiele, ani na tak długo.

Ale w granicach ludzkiej natury stopnie są różne, a niezależnie od Boskich łask i pomocy, Leona XIII stopień czysto ludzkich uzdolnień i sił jest oczywiście bardzo wysoki. Cokolwiek jeszcze przyniesie mu przyszłość, lub w czemkolwiek potomność uzna, że się zawiódł w nadziejach lub pomylił w rachubach, wszystko, co dokonał i co zaczął przez lat dziesięć swego panowania, świadczy, że na stolicy św. Piotra widzi świat człowieka niezwykłych rozmiarów.

W tem położeniu Kościoła, jakie Leon XIII zasta-

wał, gdzie materialnej pomocy znikąd być nie mogło, a odwoływanie się do prawa i sumienia na nic się nie zdało, jakież on miał punkt oparcia i jaki środek obrony, oprócz siebie i Boga? Miał trzydziestoletnie panowanie Piusa IX i jego skutki. Żadnego Papieża nie zostawił Bóg tak długo na pasterskim urzędzie, ale też żaden może nie dokonał za swoich rządów tak prędkiej, tak znacznej zmiany w umysłach i uczuciach wiernych. To odrodzenie katolicyzmu, które się w naszych czasach odbywa, nie zaczęło się od Piusa IX; wywołała je bezbożność zeszłego wieku i rewolucya francuska. Ale w pierwszej połowie naszego wieku szło ono naprzód pomału choć nieustannie; wstrzymywane może spokojem czasów (od r. 1815 do 1848) może rodzajem usposobień i rządów Leona XII i Grzegorza XVI. Świadomość katolicka ocknęła się na dobre i tak powszechnie dopiero za Piusa IX. Zapewne pod wpływem tych niebezpieczeństw jakie przebywał on i Kościół, ale niezawodnie także i bardzo pod wpływem osobistym Papieża. Czy był w nim ten ludzki geniusz, co czasem stwarza i zakłada nowy porządek rzeczy, taki jak był w Karolu Wielkim na przykład? Nie zdaje się: tak jak z tego co wiemy o apostołach, nie zdaje się, żeby św. Piotr był wśród nich najpotężniejszy umysłem. Ale jak św. Piotr na trzechkrotne zapytanie „kochasz mnie?“ mógł z czystym sumieniem odpowiedzieć „Panie, wiesz, że Cię nad wszystko miłuję,“ tak w Piusie IX świat czuł instynktem miłość Boga nadewszystko i miłość ojcowską ludzi, miłość, w stopniu którego nikt może w naszym wieku nie dochodził. To była tajemnica jego potęgi, tego wpływu pociągającego i rozkazującego razem, jaki on na ludzi wywierał. Sumienie ludzkie widziało go zawsze doskonałym, i niemylnym w wyborze między złem a dobrem; czuło i przekonało się, że on nigdy oczów na żadne złe, a serca na żadne cierpienie nie zamknie i przez niego rosło zaufanie, rosło przywiązanie do Kościoła. Słuchało i kochało się zrazu Piusa IX, stopniowo przywykało się słuchać i

kochać Papieża, rozumieć, że to posłuszeństwo i to przywiązanie jest obowiązkiem. Jaka zaś była różnica w sile i w rozszerzaniu tych uczuć i przekonań, wskazuje najlepiej znaczenie i urok Papieża przy wstąpieniu na tron Piusa IX i przy jego śmierci. Że nieszczęścia Kościoła z jednej strony a z drugiej (jak słusznie niedawno zauważano *) szybkość i łatwość komunikacyi przyczyniły się do tej katolickiej propagandy, silnej i skutecznej jak rzadko, to pewna; ale jedne i drugie nie byłyby działały tak skutecznie, gdyby ten, który był głową i duszą Kościoła, nie był zarazem wcielonym sumieniem i rozplomienionym sercem świata. Dość, że nigdy od końca XVI wieku katolicyzm nie poczuł się tak w sobie a nie skupił w Papieżu, jak teraz za Piusa IX i przez niego; a i wtedy jeszcze, po Lutrze, kto wie, czy ta świadomość i to skupienie były tak dobre jak teraz, tak wolne i czyste od ubocznych świeckich rachub i celów.

Świadomość katolicka odrodzona gdzie była przygasła, zrodzona tam, gdzie jej przedtem nigdy nie było, ogarniająca coraz szerszym kręgiem wszystkie części świata, a nie przestająca na uczuciach tylko lub przekonaniach, ale znająca się do obowiązków, do jawnego wyznania i czynnego działania, to była ta siła jedyna ale wielka, jaką Pius IX zostawiał swojemu następcy. Że w jak trudnym do złamania pęku z bajki wiele prętów, tak w tej sile było sił szczegółowych wiele, zbytecznie mówić: a nie ma co przypominać ani wzrostu Kościoła w Ameryce, ani przywrócenia hierarchii w Anglii, ani tylu zakonów i bractw, ani wzrostu katolickiej literatury i nauki, ani bułgarskiej unii, ani wyznawstwa biskupów i duchownych w Niemczech, ani wyznawstwa i męczeństwa biskupów księży i wiernych w Polsce i na unickiej Rusi. Ale jak w owym pęku musiał być w samym środku jeden pręt

*) Smolka: „Z pobytu w Rzymie“ *Czas* Nr. 244, 245, 247 i 249 z roku 1887.

najtęższy, na którego mocy spierały się wszystkie inne, tak w tem odrodz niu Kościoła za Piusa IX był jeden fakt, jego wyraz najlepszy i jego rdzeń, to Sobór watykański, jakoby przypływ krwi z całego organizmu do serca i powrót jej odświeżonej, dzielniejszej do wszystkich organów i kończyn: a w Soborze dopiero dogmat nieomylności Papieża. Pamiętamy wszyscy jak wielu on niepokoił i trwożył; jak wielu katolików najgorętszych — ba, znakomitych biskupów, nie mogło się z nim oswoić. Dziś, kiedy dążenie do rozkładu Kościoła objawiło się tak wyraźnie, że nikt go przeoczyć ani zaprzeczyć nie może, dziś zapytajmy, jaki był i czy był inny środek zabezpieczenia jedności Kościoła i jedności wiary, jak wskazać wyraźnie i stanowczo ten środek ciężkości, do którego każdy ze swoim sumieniem i wiarą ma się odnosić i ciężyć? Mojżesz postawił miedzianego węża Izraelowi mrącemu z zarazy i głodu, dla nas tym węzem jest krzyż; ale nam trzeba prócz tego kogoś, coby wskazywał gdzie on jest i w której stronie szukać go mamy; bo nasza zaraza inna jak tamta, na tem właśnie polega, że już nie wiemy gdzie patrzeć i szukać. A Bóg wie jak ona się jeszcze wzmoże? jak w przyszłości mogłoby nam być trudno podnosić oczy do tego węża bez pomocy tego, kto zawsze niemylnie wie gdzie on jest i umie go wskazać.

Siłę katolicką brał Leon XIII spadkiem po Piusie IX, i wystąpiła ona jak żołnierz na wojskowym przeglądzie, kiedy po wstąpieniu na tron składała mu pierwszy hołd. Ale choć wielka i najpotrzebniejsza ze wszystkich, była ona do użycia trudną. Była ona siłą uczucia głównie; miała naturalnie do pomocy siłę inteligencji i nawet siłę pieniężną (czyniła zadosyć w pewnej mierze potrzebom огоłoconych instytucyj kościelnych), ale nie miała tej własności, tego praktycznego skutku, iżby mogła dać Papieżowi wolne wykonywanie jego woli, wolne sprawowanie rządów Kościoła, a Kościołowi swobodne, regularne działanie jego organów. Gdyby Papież, dzisiejszy czy

przeszły, był odwołał się do katolickiego uczucia wier-
nych, choćby był uczucie to rozgrzał do najwyższego, do
bohaterskiego zapału, co byłby przez to osiągnął? Nie to
czego Kościołowi właśnie było potrzeba: nie możność ja-
kiego takiego rządzenia sprawami Kościoła przez Papieża
i biskupów. Może wojnę religijną może powstanie katoli-
ków w obronie Papieża przeciw sektom i prawom bezbo-
żnym, to może Papież byłby zdołał dokazać. Ale tego nie
mógł chcieć; a gdyby był chciał nawet, to przez to byłby
dochodził do walki tylko, nie zaś do możliwego pełnienia
koniecznych funkcij kościelnego życia. To było rozprzę-
żone zupełnie w Niemczech, w Polsce pod rządem rosyj-
skim, bardzo we Francyi, najgorzej we Włoszech, gdzie
lada rozkaz Rewolucyi, lada uchwała Izb, lada rozruch
uliczny wreszcie, mogły jednym zamachem i w jednej
chwili zająć Watykan, i dokonać rozprzężenia Kościoła
przez wygnanie lub uwięzienie Papieża i kardynałów.

Ubezpieczyć jako-tako Głowę Kościoła w Watykanie,
a członkom jego dać możność regularnego (choć słabego)
oddechu i krążenia krwi, umożliwić materialne organiczne
życie Kościoła; oto, co było w chwili śmierci Piusa IX
jego pierwszą, główną, nagłą potrzebą. Życie duchowe
było odrodzone i silne; ale jak wszystko na świecie, tak
Kościół ma swoje ciało i swoje fizyczne, żeby się tak wy-
razić, warunki bytu. Te zaś były mniej lub więcej ale
wszędzie, zburzone lub rozstrojone; trzeba było koniecznie
jakoś je trochę naprawić i nakręcić, bo inaczej siłą ducha
i uczucia jeszcze to jakiś czas pójdzie, ale niebawem za-
braknie biskupów, księży, Sakramentów, nabożeństw, nauk,
i wszystko stanie — albo rozchwieje się i rozstroi, rozlezie —
a gdzieniegdzie może rozbryka.

W tym stanie rzeczy, co miał Leon XIII wybierać,
czego jać się naprzód? Rzecz jasna, że skoro Kościół jest
powszechny, to uniwersalność musi być cechą prac i sta-
rań każdego Papieża. Każdy musi mieć na oku i na pie-
czy wszystkie sprawy i potrzeby Kościoła, we wszystkich

krajach czy częściach świata, i dawno trzebaby szukać w historyi takiego, któryby cokolwiek świadomie był spuścił z uwagi lub zaniedbał. Ale w pełnieniu tego zadania są różne miary objęcia i energii, Leon XIII zaś okazuje się przez dziesięć lat niezmiennie jako umysł tem bardziej zdumiewający, że łączy najrozleglejsze i najgłębsze pojęcie stanu świata i swego w nim zadania, z postępowaniem, w którym jest stanowczość i energia, ale jest i ostrożność i wyrachowanie. Jest mądry jako myśliciel, jako rządca jest praktyczny: i te dwa przymioty jego umysłu występują we wszystkich jego działaniach od początku, równolegle, a tak, że ani zmysł praktyczny nie przynosi szkody afirmacyi i obronie zasad, ani niezachwiana afirmacja zasad nie przeszkadza wymijaniu lub zwyciężaniu praktycznych trudności.

Od czego miał zacząć? od tego oczywiście, żeby nie ustąpić nic z istotnych praw Kościoła i warunków jego bytu, żeby wystąpić przeciw urzędzeniu społeczeństw świeckich na podstawie bezbożności, i żeby przywrócić Kościołowi byt nie już taki jaki być powinien, ale tylko praktycznie możliwy, jakim w większej połowie Europy być przestał. W tych dwóch kierunkach postawione były pierwsze zaraz kroki nowego Papieża. Kiedy na pierwszym konsystorzu kardynałów (28 marca 1878 r.) pierwszy raz miał przemówić publicznie, oczekiwano z niespokojną ciekawością, co powie o głównych bieżących kwestyach świata i Papiestwa; jak oznaczy swoje stanowisko względem tych kwestyj, a przedewszystkiem względem Włoch. Oczekiwanie zawiodło. Przedmiotem pierwszej przemowy Papieża był wypadek radośny, tryumf Kościoła. Po trzech przeszło wiekach prześladowania, a w najlepszym razie ukrytego nieuznanego bytu, wracał Kościół do Szkocyj jawnie, prawnie, z zupełną organizacją swoich dycezyj. Nie było to dziełem Leona XIII; rozpoczął je, prowadził i prawie dokonał Pius IX; ostatnie formalności tylko i podpisy zostawił swemu następcy. Ale niemniej było to dla tego dobrą

wróżbą niejako, i piękną odpowiedzią na dezorganizację Kościoła we Włoszech, w Niemczech i we Francyi, móż obwieścić światu, że on się krzewi i szerzy nawet tam, gdzie jego nienawiść była tak namiętna i fanatyczna; że znać nie przeszkadza on wolności i cywilizacyi, skoro hierarchię jego przywraca społeczeństwo i państwo, dość jednak daleko w cywilizacyi posunięte, a na wolności nie gorzej podobno od innych się znające.

Ale niebawem zwrócił się Papież do tych kwestyj głównych, do walki bezbożności z Kościołem na wszystkich polach. Pierwsza Encyklika (*Inscrutabili*) z 21-go kwietnia 1878 r. chwyta właśnie tę samą rdzeń kwestyi, uderza w sam środek, kiedy wykłada, że społeczeństwo świeckie nie może być bez religijnej podstawy i duszy; że kiedy w sobie samym a nie w prawach bożych szuka źródła i podstawy ładu i moralności, to znajdzie tylko rozkład i ostateczne barbarzyństwo; że kłamią bezbożne sekty i dążności, kiedy mówią, że Kościół nie godzi się z wolnością i cywilizacją, ale jej sprzeciwia.

Po tej Encyklice już świat wiedział co Papież myśli o teorii rewolucyjnej, w polityce czy w filozofii, w nauce czy w literaturze. Co myśli o rewolucyi praktycznej, w czynienie, i o zaborze państwa Papieskiego, dowiedział się z tejże samej Encykliki, w której Leon XIII potwierdzał wszystkie protestacye swego poprzednika.

Stanowisko ogólne było więc wiadome i wyraźnie oznaczone. Osobiste uczucia Papieża względem wszystkich uciemiężonych lub prześladowanych, dały się znów poznać z wyboru Sekretarza Stanu. Został nim kardynał Franchi, polityczny wychowaniec (i jako taki jeden z najszlachetniejszych) Piusa IX, w ostatnich latach jeden z poufnych powierników jego myśli. Niestety wielkiem była jego śmierć, która nastąpiła tak rychło, zaraz w lipcu pierwszego roku panowania Leona. Miejsce jego zajął kardynał Nina, a kiedy objął swój urząd, Papież jakżeby chciał obwieścić światu program polityczny swo-

ich rządów, ogłosił list, który do niego 27 sierpnia był napisał.

Pierwsza Encyklika dawała poznać jego mądrość w rzeczach ogólnych i niezmiennych; ten list pozwalał odgadnąć praktyczność w sprawach szczegółowych i przemijających.

Kościółowi trzeba było przywrócić możność bytu, możność oddechu tam, gdzie był dławiony; Papiestwu trzeba było przywrócić nie jego prawa, ale na tę najbliższą chwilę jakieś bezpieczeństwo; coś wynaleść, coby imponowało włoskiemu rządowi i rewolucji i trzymało je w pewnych korbach. Do pierwszego postanowił Papież dójść cierpliwością: znosić co tylko i dopóki znosić można, katolików łagodzić i do cierpliwości wzywać, unikać zerwania z jakimkolwiek rządem, bo z zerwaniem stosunków może przepaść ostatek regularnych stosunków i funkcji Kościoła. Tej polityki trzymał się Papież we Francji na przykład, choć ta dawała mu dość słusznym powodów zerwania, choć rwali się i drgali tamtejsi katolicy, niecierpliwie żując wędzidło. Napróżno. Cugle trzymane były krótko w rękę jeźdźca, który umiał taki krok nakazać, jakiego chciał. Ale oprócz Francji były Niemcy, było nowe Cesarstwo ze swoim kanclerzem, w samym ogniu i w samej wściekłości tej walki niby cywilizacyjnej, niewiedzieć dlaczego nierozumnie poczętej, ale prowadzonej bardzo rozumnie, to jest bardzo przebiegle a systematycznie.

W liście do kardynała Sekretarza Stanu znajduje się ustęp taki: „Pisaliśmy do potężnego cesarza Niemiec, które „są przedmiotem szczególnej naszej troskliwości, z powodu „smutnego położenia katolików w tem państwie... Słowa te „nasze dały początek niejakiemu wspólnemu porozumiewaniu się i t. d.“ A więc zaraz po wstąpieniu na tron, w pierwszych czasach panowania, już ta myśl, żeby walkę religijną w Niemczech, jeżeli się da, ukończyć.

W jakim celu? gdzie ze wszystkich biskupów dwóch

tylko zostawiono na stolicy, gdzie tysiące parafij bez księży seminarya zamknięte, zakony rozpędzone; gdzie więzienia pełne są księży zamkniętych za to, że odprawiali msze lub udzielali Sakramentów, tam nie trzeba pytać, dlaczego Papież stara się o przywrócenie pokoju, a przynajmniej o folgę w prześladowaniu; jego cel i jego obowiązek jest oczywisty i nieunikniony. Ale że obok tego głównego mógł być drugi podrzędny, to można logicznie przypuszczać. Papież i najwyższy rząd Kościoła był, jak jest dotąd, na łasce rządu włoskiego; jeden jego rozkaz, jedno nawet milczące zezwolenie przy pozornej neutralności lub niby niemożności hamowania gorących, wystarczy by napaść na Watykan i jednym zamachem wszystko obalić. Zapewne, że jest przeciw temu niejaka rękojmia, nie w gwarancyach rządu włoskiego, ale w jego interesie i przebiegłym rozumie. Ale ta rękojmia sama jedna, to mało. Trzeba Papieżowi koniecznie kogoś drugiego, kogoby się rząd włoski bał, i z tej obawy nie śmiał ani sam osiągnąć się do zamachu, ani do niego dopuścić. Dawniej była tym kimś Francya, ale dziś być nie może; a choćby mogła, nie chciałby jej rząd i większość jej parlamentu. Dziś kogo Włochy najbardziej potrzebują, bez kogo nie mogą nic zyskać a może niejedno stracić? komu najbardziej się podchlebiają? zatem kogo się najbardziej boją? Oczywiście Prus. Gdyby się udało względem na Prusy, obawą Prus, trzymać je w szachu? To pewna, że nikogo innego w Europie do tego celu znaleźć i użyć nie można. Wziąć odwiecznego nieprzyjaciela, produkt, spadkobiercę, i wcielenie myśli Lutra, filar protenstancyzmu na kontynencie i wyobrażenie omnipotencyi państwa przeciw Kościołowi, wziąć wieczystego zdrajcę a dziś otwartego i zjadłego prześladowcę Kościoła, i nim zasłonić się przeciw nieprzyjacielowi nowemu, doraźnie i materyalnie najbliższemu i najgroźniejszemu, myśl była śmiała a skutek bardzo niepewny! Jednak wyboru nie było: Leon XIII chwycił się tej myśli, chwycił się jej, pomimo, że wiedział dobrze,

z kim ma do czynienia; pomimo że znajomość ludzi i dziejów uczyła go niejednem bolesnem doświadczeniem, że za taką, nawet pośrednią, nie nie kosztującą, owszem korzystną usługę, i swoim zwykle, a jakże dopiero obcym i nieprzyjaciółom drogo płaćć przychodzi! Wiedział to wszystko, i przewidywał że z takich układów bez żadnej straty wyjść nie zdoła. A jednak wdał się w układy, bo nie miał w tej chwili innego sposobu na przerwanie przesładowania w Niemczech i na zabezpieczenie Papiestwa w Rzymie.

Że nie bez skutku, to wiemy. Ale początek tych układów od ich końca przegradzały długie lata, w ciągu których swoim porządkiem szły inne sprawy, inne prace które tu pokrótce przypomnieć należy. Przypomnieć, nie oceniać, ani nawet wyliczać, bo na to brak nam miejsca i czasu. A więc po przywróceniu hierarchii w Szkocyi, przywrócenie jej (raczej po tak długiej przerwie stworzeniem można nazwać) w Bośni i Hercegowinie (1881); szczęśliwe zakończenie sporów między Ormianami-katolikami, powrót tych między nimi, którzy się byli oderwali od Kościoła, i kolegium ormiańskie założone w Rzymie (1880—1883). Na głębokim wschodzie, załatwienie sporów między katolikami chaldejskiego obrządku i połączenie ich pod jednym patryarchą; w Persyi wyjednana Kościołowi obrona i swoboda od rządu: do ostatnich krańców wschodu do Chin i Japonii sięga ta czynność i ta opieka, i zawiązuje bezpośrednie z tymi cesarzami stosunki na obronę misyonarzy. W Ameryce na synodzie w Baltimore (1884), zasiada siedmdziesięciu przeszło biskupów i trzydziestu kilku prowincyałów zakonów; synod biskupów australskich zebrany w Sydney (1885), protestuje przeciw zaborowi dóbr Propagandy i nazywa ten zabór tak po imieniu, jak nie śmiał nikt podobno w Europie... co za rozszerzenie wspaniałe i niewidziane, co za zdobycze nie do uwierzenia, na morzach i światach gdzie przed stu laty zaledwo kto o Rzymie i o Papieżu słyszał! nie za naszych czasów

poczęte, ale w naszych oczach dokonane i objawiające się! Co zaś w naszych oczach poczynąć się zdaje, to pierwsze dreszcze niepokoju lub łaski w łonie odwiecznej schizmy greckiej; co w naszych oczach widocznie już, to pierwsze kroki schizmy słowiańskiej do powrotu, a starania dzielne około utrzymania w jedności tej, która dawno była wróciła: to Bułgaria, to Ruś galicyjska umocniona nowym metropolitą, nową dyecezą i biskupem, początem odrodzeniem Bazylikańskiego zakonu, internatem ruskim we Lwowie (choć to w porównaniu drobne); wreszcie to Słowiańszczyzna katolicka cała, obu obrządków, wezwana do Rzymu i przyjmująca błogosławieństwo Papieża, to wywyższenie jej pierwszych apostołów w czci powszechnego Kościoła; to wielka pielgrzymka słowiańska na tysiącletnią rocznicę śś. Cyrylla i Metodego.

Ah, a ta Słowiańszczyzna, która znosi prześladowanie, i ta dopiero, co za wierność swoją znosi krwawe męczeństwo, Kościół polski i ruska Unia na Podlasiu i Chełmszczyźnie? Jeżeli można wierzyć temu, w co wierzą katolicy na zachodzie i południu (prawda, że względem Rosyi niekiedy zbyt łatwowierni), to śmierć Aleksandra II wypadłoby nam uważać za wielkie nieszczęście, bo nastąpić miała w chwili, kiedy na skutek listu Papieża z r. 1850 miał się skłaniać do jakiegś dla polskiego Kościoła, a nawet dla społeczeństwa świeckiego ulgi. Za jego syna, za rządów narodowej i religijnej nienawiści posuniętej do fanatyzmu, za rządów, które prześladowanie i tępienie mają za swoją od Boga niby misję, od Rosyi Katkowa, Tolstoja i Aleksandra III czegoż można było spodziewać się i żądać? Leon XIII wiedział doskonale, że tam prześladowanie w najlepszym razie zmieni na czas pozory i formy, ale celów swoich nie zrzeknie się nigdy; wiedział, że żaden układ nie będzie zawarty w dobrej wierze, ale każdy ominięty wykrętnie i nie dotrzymany; wiedział, że żaden biskup nie będzie mógł ani dyecezą swobodnie rządzić, ani z nim się znosić, a każdy narażony będzie

ustawicznie na uwięzienie lub wywiezienie. Wiedział to wszystko, a jednak układ podpisał, a jednak zgodził się na usunięcie biskupów-wyznawców— (a choć bez rozlewu krwi męczenników) Felińskiego, Krasińskiego, Rzewuskiego... Dlaczego to zrobił? Dlatego, że gdyby tych był chciał na ich stolicach utrzymać, nie byłby osiągnął nic; że gdyby ich wierność i stałość był nagroził zasłużonym kardynalskim kapeluszem, to zemsta za to spadłaby na duchowieństwo i wiernych ich dyecezyj; bo myślał i mówił, że choćby biskupi nowi w najgorszym położeniu, z najgorszym trudem i przez czas choćby najkrótszy tylko część jakąś swego zadania spełnić mogli, to już przez tę pewną liczbę wyświęconych księży, przez seminaria, przez dozór i karność, przez przykład gorliwych i świątobliwych biskupów wzmocni się Kościół choć trochę, a to wzmocnienie pozwoli mu znowu jakiś czas wytrzymać złe losy, poczem może Bóg się zmiłuje i ześle jaką ulgę. Zawarł więc układ, a skutkiem tego układu obsadził wszystkie dyecezye, pokrzepił cały organizm polskiego Kościoła. Ci biskupi — z wyjątkiem jednego wywiezionego — są, a choć skrzepowani, działają przecie i dają z siebie wielki przykład roztropności i gorliwości. Żyją w warunkach nieznośnych a prawie niemożliwych, ale żyją — i życie w Kościele, w duchownych i świeckich utrzymują i krzepią. W porównaniu z tem czem stanowisko Kościoła być powinno, i w porównaniu z ogromem rosyjskich ucisków i prześladowań, jest to oczywiście smutne *minimum*, ale jest tem co najpotrzebniejsze, i jest *maximum* tego, co bez fizycznej przemocy lub jej własnej fizycznej niemocy od Rosyi otrzymać się dało.

A że jeżeli dla łacińskiego Kościoła nic więcej, to dla unickiego nie mógł Papież otrzymać nic zgoła, to jasne. Tamtego Rosya nie popuści, chyba że ją Bóg nawróci cudem, albo ręką jakiego mocarza ukarze i upokorzy. Teraz Papież i Kościół stoją nad tymi unitami tak, ak stoją czasem rodzice nad dzieckiem konającym, zgu-

bionem... nie ma rady, nie ma ratunku, nie ma ludzkiego rozumu, dziecko musi zginąć, a ojciec nie może mu nic pomódz, tylko stoi bezwładny z opadłemi rękoma i szepcze: „Boże zmiłuj się.“

Czasem się Bóg w takich razach lituje.

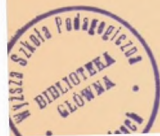
Materyalne rozszerzenie wiary i Kościoła, gdzie jest możność po temu, materyalna jego obrona tam gdzie jest gnębiony, to jedna połowa zadania i dzieła Papieża. Ale jest druga nie łatwiejsza; to obrona Kościoła w każdym umyśle, w każdym rozumie, w każdym sumieniu z osobna; to wprowadzenie jego zasad i nauk w świadomość, w krew, w szpik kości naszych społeczeństw; to katolickie odrodzenie świata przez oświecanie rozumów i prostowanie przekonań; walka z bezbożnością o przekonania, o rozumy, o sumienia ludzkie, a przez to o ludzką wolę: przygotowanie lepszej przyszłości świata przez lepsze zrozumienie istoty społeczeństwa i warunków jego bytu. To druga połowa dzieła, i ta, w której Leon XIII okazuje się może większym niż w pierwszej.

III.

W tem wstrząśnieniu wszystkich pojęć człowieka o sobie samym i wszystkich swoich stosunkach i związkach, za którem poszło wstrząśnienie wszystkich tych stosunków i praw, a które jest wielką chorobą wieku i źródłem jego cierpień; w tem zamięszaniu powszechnem, gdzie każdy człowiek i każde społeczeństwo na swój sposób szuka i pyta, jakie są prawdziwe podstawy i warunki jego bytu, i na swój sposób pojmuje i opisuje wolność, władzę, własność, rodzinę, społeczeństwo i państwo; gdzie każdej z tych podstaw i form bytu człowieka na ziemi każdy przypisuje inną treść, inne granice i inny początek, a skutkiem zamięszania w pojęciach jest i zamięszanie w dążeniach, i sprzeczność a następnie namiętność i nie-

nawiść, nie ma ważniejszego i bardziej dobroczynnego zadania, jak rozjaśnić te ciemności, a w tym labiryncie wytknąć prostą, prawdziwą drogę. W trzęsieniu ziemi żyje nasz wiek, podobnem ale gorszem od tego w jakim chwiał się i kołysał wiek XVI. Gdzie jest miejsce bezpieczne i stałe, gdzie jest równowaga pewna i jaka jest ta prawda o człowieku i społeczeństwie, o wolności i o władzy, o prawie i o obowiązku, o porządku i nierządzie? jaka ich natura, jak i dlaczego jedno w drugie przechodzi? ktoby tę prawdę wskazał, nie zdołałby zapewne świata równowagi przywrócić od razu, ale wskazałby jej warunki: a te z razu choć przez niewielu tylko zrozumiane, z czasem może dałyby się zrozumieć powszechniej i rzetelniej, i znalazłoby się lekarstwo na wielką chorobę, ustałoby trzęsienie, a powierzchnia ziemi ustawiłaby się do równowagi.

Kościół, który sam w sobie, w swojej naturze, tych sprzeczności nie nosi i tym walkom nie podlega, ale od początku swego patrzy na wszystkie sprzeczności i walki wynikające z natury ludzkiej, a naturę ludzką zna lepiej niż ktokolwiek, bo w tej znajomości pomaga mu i przyświeca Ten, co człowieka stworzył: Kościół w tych wszystkich kwestyach, które nas rozpalają do namietności a miesza aż do oblędu, ma tę mądrość spokojną i jasnowidzącą, która ujmuje i trzyma, pojmuje i wyklada niezmiennie to, co w każdym prawie, w każdym stosunku, w każdej formie jest istotne, przyrodzone i konieczne. On zna istotę i naturę wolności, zna początek i granice władzy, zna wszystkie prawa i wszystkie konieczności jak obowiązki wynikające ze wspólnego społecznego życia ludzi; wie, że ich istota może się zgodzić z każdą formą zewnętrzną, i że wszystkie te formy mogą być dobre, byle istoty nie naruszały i nie gwałciły. Ale istotę rzeczy pojmuje zawsze jednako, zawsze jasno, po prostu, zrozumiale. Jak w wiekach średnich kościelne definicje praw władzy zwierzchniej i poddanych i ich wzajemnego sto-



sunku, były najprost ze i najmędrsze, bo na naturze ludzkiej i naturze rzeczy oparte, tak do dziś dnia zachowały tę samą jasność, tę samą praktyczną mądrość, tę samą psychologiczną, polityczną i moralną prawdę. W chaosie naszych wyobrażeń i walk — zwłaszcza społecznych — przypomnieć te proste i niezmiennie ale zapomniane prawdy, wyłożyć zasady i warunki organizacji społecznej, wynikające z natury ludzkiej a przeto jak ona niezmiennie w swojej istocie, choć zmienne w formach, to było powołaniem i obowiązkiem Kościoła, ale zarazem i wielkiem jego dla ludzkości dobrodziejstwem.

Papieżem-dyplomatą nazywano Leona XIII, kiedy go widziano w układach z nieprzyjaciółmi Kościoła; nam zdawałoby się, że on jest raczej Papież-mysliciel i Doktor. Przez całe życie musiał w wielkiej pracy ducha rozmyślać nad kwestyami, które dręczą nasz świat; aż kiedy z powołania wypadło mu do całego o nich mówić, przemówił tak, że tych jego nauk zbiór z pewnością stanowić będzie niespożyty i niewyczerpany dla Kościoła *corpus* nauki o stosunku Kościoła do społeczeństw świeckich. Żaden może Papież nie był w takiej jak ten konieczności zgruntowania i wyłożenia tej kwestyi, ale też żaden może nie przedsięwziął tego tak systematycznie i na tak wielką skalę. I z pewnością na Encyklikach tłumaczących tę kwestyę, oprze się kiedyś powaga i sława Leona XIII jako wielkiego w Kościele doktora, tak jak dziś już z nich powstała sława wielkiego myśliciela, wielkiego znawcy współczesnych społeczeństw i natury ludzkiego społeczeństwa w ogólności; sława wielkiego uczonego przytem, wykarmionego i wyostrzonego filozofią i pisarza, który szlachetnością i pięknnością formy przypomina najświetniejsze czasy humanizmu.

Encyklika pierwsza (*Inscrutabili*) była jakoby ogólnym wstępem do tego wykładu: za nią poszły jak rozdziały szczegółowe tego samego dzieła. Encyklika z 28. grudnia 1878 r., (*Quod Apostolici Muneris*), której przed-

miotem jest socyalizm, jego skutek anarchia i jego związek z wolnem mularstwem, zawsze przez Kościół potępianem. Wszystkich wyliczać nie możemy; przypominamy tylko, że w r. 1880 Encyklika *Arcanum Divinae Sapientiae Consilium* rozbierała kwestyę innej podstawy społeczeństwa, rodziny, a mianowicie małżeństwa kościelnego i cywilnego, i rozwodów. Encyklika z 29. czerwca 1881 r. *Diuturnum illud* zdawała się brać pochop ze śmierci Aleksandra II, żeby panującym przypomnieć, czem grozi im samym społeczeństwo wychowane w negacyi Boga i Kościoła, a w widoku bezprawi i gwałtów. Pomijamy niejedną, żeby wspomnieć najbardziej tylko uderzającą, jak *Nobilissima Gallorum gens* (1884) z nauką dla katolików francuskich (i wszystkich), jak się zachować mają pod rządem przeciwnym ich uczuciu i przekonaniu, i pod rządem przesładującym: i *Humanum Genus* (1884) z nowem potępieniem mularstwa, z wykładem jego istoty i celów. Ostatnia z rzędu, a może najważniejsza, *Immortale Dei* (z 1. listopada 1885), miała za przedmiot początek i prawo władzy, i stosunek państwa do Kościoła; kwestya od wieków średnich na porządku dziennym historyi i politycznej filozofii, kwestya przez średniowiecznych doktorów obrabiana zawsze. Dziś niemniej paląca, niemniej złączona ze wszystkimi wypadkami współczesnej historyi, niemniej klucz do rozwiązania wielkiej zagadki równowagi i spokoju. Wyłożona zaś ze znajomością rzeczy i jasnością tak niezwykłą, że w rzędzie tych wielkich myślicieli, co od Aristotelesa począwszy, zajmowali się filozofią praw i warunków bytu ludzkich społeczeństw, historia będzie musiała wspominać Leona XIII — tak, jak wspomina św. Tomasza; — będzie musiała uważać go za spadkobiercę tego doktora i jego następcę; za jednego z głównych reprezentantów katolickiego systemu socyologii.

Ale jeden wykład zasad choćby najznakomitszy, nie wystarczy; potrzeba praktyki i potrzeba wychowania w tych zasadach. Tę praktykę ma Papież na oku i w swoich

Wielkie rzeczy ten Papież rozpoczął i wiele ich dokonał; będzie go znać, będzie o nim słyszeć w historii.

Czy zakończenie sporu religijnego w Niemczech jest, jak niektórzy twierdzą, jego dziełem największem? Nikt tego dziś wiedzieć nie może, bo nikt nie zna ani skutków, ani nawet przebiegu tej sprawy we wszystkich jej przejściach i czynnikach. Kiedyś dopiero historia powie i osądzi z aktów, czy można było w tej lub owej chwili postąpić inaczej; czy można było otrzymać lepsze warunki ugody. Dziś wiemy tylko, że zawieszenie broni było konieczną potrzebą Kościoła, ze względu na stan jego w Niemczech; że było wskazane i przydatne ze względu na stan jego we Włoszech. Znieważenie zwłok Piusa IX i zabór majątku Propagandy, objawiły wszem wobec, jaka jest wartość rękojmi włoskiego rządu, i jakie każdej chwili niebezpieczeństwo Papieństwa.

Niemniej jasne, że potrzebował ugody rząd pruski także; a kiedy się opatrzył, że bez powodu i celu niedorzecznie sprawę tę wywołał — (może do tego zastanowienia pomogły mu zamachy na życie cesarza Wilhelma?) — chciał się z niej wycofać. Że był przebiegły i zręczny jak zawsze, że słowa dotrzymał i „do Canossy nie poszedł“, to prawda; i naturalną jest troska, czy on nie odniósł większych korzyści z ugody, aniżeli Kościół. Ale nie trzeba przebierać miary w troskliwości i obawie, zwłaszcza jeżeli jest ją czem uspokoić. Katolicy niemieccy pod pierwszym wrażeniem tego frasunku mieli złorzeczyć wyspom Karolińskim, jakoby one, jakoby spór o nie między Niemcami a Hiszpanią poddany polubownie pod sąd Papieża, był zręcznym w rękę księcia Bismarka podstępem, obrachowanym na podejście i złudzenie Leona XIII, na ujęcie a prawie przekupienie go temi pozorami wielkiego stanowiska Kościoła, jako rozjemcy i arbitra między panami chrześcijańskimi. Że zamiar był taki, to wszyscy wiedzą, a nikt nie wątpi. Ale że mimo zamiaru i wiedzy, ks. Bismark stworzył tym sądem polubownym położenie dla

Kościół nadspodziewanie korzystne, to także prawda. Naprzód przed całym światem wyznawał przez to Cesarz niemiecki Papieża jako monarchę; powtóre, poddaniem swojej sprawy pod jego powagę i sąd, uznawał i w oczach świata podnosił tę powagę. Sam w nią nie wierzył i chciał ją podejść tylko; sprawy, o którą naprawdę dbał, nie byłby puścił na niepewny los polubownego sądu? tak jest oczywiście. Ale niemniej oczywiście zaszedł fakt, że Papież był arbitrem w sporze państw świeckich, arbitrem wezwanym i uznanym przez pierwsze z państw protestanckich i głowę protestanckiego wyznania. Po tym fakcie nie mogą przeczyć, że Papież ma górujące w świecie stanowisko, że ma charakter królewski a urząd jakiś osobny, jedyny, wyjątkowy. Nie powoływali go na arbitra jako panującego, bo mu panowanie zabrano; nie jako sprzymierzeńca, bo z nim właśnie walczyli; nie jako świeckiego księcia, bo tego nie potrzebowali szukać tak daleko; powołali go dlatego, że jest Papieżem, a przez to nie chcący, nie wiedząc co robią, oddali świadectwo jego stanowisku, wyznali jego powagę, wskazali jego w świeckich sprawach znaczenie i przeznaczenie. Że nie to zrobić chcieli, to się rozumie: ale *mentita est iniquitas sibi ipsi*. A w tym stanie naszego świata, gdzie Papież właśnie pozbawiony jest określonego, materialnego i prawnego stanowiska, gdzie jest jakoby zawieszony w powietrzu, takie przyznanie i stwierdzenie jego powagi wyjść musiało i wyszło na jej utwierdzenie i wzmocnienie.

Co zaś do samych warunków ugody z Prusami, niedziw, że katolicy niemieccy i inni patrzali na nie z obawą i frasunkiem; że pytali: czy państwo — (a protestanckie do tego) — nie dostało w rękę narzędzia, którego dziś z rozwagi i planu nie używa, ale które przykręci skoro zechce, i Kościół niem ściśnię jak w kleszczach. Potem ta troska druga, czy za tym przykładem inne państwa po kolei nie zechcą domagać się przywilejów podobnych dla siebie: a jak odmówić drugiemu, co się już jednemu przy-

zwoliło? Dalej obawa, czy większa niż dawniej zależność księży od rządu, nie wpłynie źle na słabszych między nimi i różnemi pokusami nie doprowadzi do powolności i uległości większej, niż się należy i godzi? Boleśny także widok tych biskupów wiernych i dzielnych w obronie, jak piękniej nie można, silne filary Kościoła i jego świetne ozdoby, odsuniętych od dyecezyj, które przykładem i rządem swoim wynieśli do rzędu najlepszych w Kościele. Ludzka wreszcie, ale niemała boleść i upokorzenie tych katolików świeckich, którzy dziś są z pewnością zastępem wyborowym, prawdziwymi tryaryuszami armii walczącej przeciw bezbożności, zmuszonych złożyć broń, której im nieprzyjaciel nie złamał ani nie wytrącił, i przyjąć kapitulację, której warunki są twarde, a im wydają się nie całkiem bezpieczne. Frasunków takich powstaje wiele, a zupełnej na nie pociechy i uspokojenia nie ma. Ale są częściowe wprawdzie, jednak wielkie. Ta pierwsza, że cokolwiek nam się wydaje, Papież lepiej od nas wie w czym i o ile ustąpić może, a my swoje zdanie pod jego uznanie poddać nie tylko powinniśmy, ale możemy z zupełnym spokojem i ufnością. Ta druga, że ta powinność właśnie, to poddanie się tak niełatwe, było zrozumiane tak powszechnie, a spełnione tak jednomyślnie i doskonale, zwłaszcza przez katolików niemieckich, którzy wszystkim innym dali przykład budujący i prawdziwie wielki. Zawarty pokój może być mniej lub więcej korzystnym, ale ta postawa katolików jest tryumfem Kościoła, i dowodem ile mu przybyło siły. Obsadzenie biskupstw i parafij, otwarcie seminariów, powrót zakonów (choć nie wszystkich) przywrócona organom Kościoła możność pełnienia funkcji im przyrodzonych i przywrócenie organizmu samego do stanu nie zdrowia zapewne, ale znośnej konwalescencji, to jak było głównym powodem, tak jest i głównym pożytkiem ugody. A co do przyszłości? nie ma tego na świecie układu, któryby nie miał stron złych i z którego jakaś wynikłość zła nie mogłaby się przewidywać lub nawet rzeczywiście

nastąpić. Ale kto roztropny, ten naprzód myśli o niebezpieczeństwie najbliższem: nie przypuszczalnem, ale pewnem i niechybnem; nie tem, które przyjąć może, ale tem, które przyjąć musi, i to uprzedza, to usuwa, od tego chroni się naprzód. Dla Leona XIII, który przed Bogiem odpowiedzialny jest za Kościół, takim było niebezpieczeństwo dusz pozbawionych środków zbawienia, i drugie, niebezpieczeństwo rozprężenia Kościoła. Na to radzić musiał, i zaraz. A jeżeli przyszłość przyniesie nowe niebezpieczeństwa, to przyniesie też rady i środki jak się od nich bronić, jak przyniosła je terazniejsza chwila na dzisiejsze walki i groźby, dla dzisiejszych ludzi.

Czy dla wszystkich? Dotykamy najboleśniejszego i najdrażliwszego razem pytania. Z pod ogólnych warunków religijnej ugody, wyjęte są diecezye polskie pod rządem pruskim: Gniezno i Poznań nie mają seminaryów, kardynał-prymas Ledóchowski (a więzien z Ostrowa), i jego suffragan biskup Janiszewski, oddaleni od rządów diecezyi: na stolicy św. Wojciecha, na prymasowskiej stolicy polskiego Kościoła biskup sprowadzony z innego kraju. Rząd pruski chciał, żeby nawet ta ugoda z Kościołem służyła mu do szatańskiego dzieła zagłady polskiego plemienia i ducha, a Papież w tem mu się opierał, ale nie oparł do końca.

Że w rządzie naszych polskich udręczeń i upokorzeń to nie jest najmniejsze, któżby przeczył! owszem, miejmy odwagę powiedzieć to głośno i wyraźnie. Nasze to już przeznaczenie w tym wieku, upośledzenie i wydiedziczenie we wszystkim; na wszystkich się zmieło, ale na nas musi się skrupić. Skrupiło się i teraz, a dalszych skutków boimy się bardzo. Boimy się, że w rozpoczętem, a nie dość jeszcze posuniętem i utrwalonem dziele katolickiego odrodzenia Polski, ten fakt może się stać przeszkodą wielką, bo narodowe uczucie jest w nas silne, i za nie może nas kusić niejeden nieprzyjaciel Kościoła, mówiąc: „oto was Papież opuścił i Prusakom wydał na łaskę i

Encyklikach (naprzykład *Auspicato Concessum* (1882) albo *Supremi Apostolatus* (1883) przykazuje miłosierdziem, nauczaniem ubóstwem dobrowolnem działać przeciw nienawiściom i pokusom socyalizmu; tę praktykę zwłaszcza ma na oku, kiedy zaleca i gorąco bierze w opiekę wszystkie stowarzyszenia i bractwa, zawiązujące się dla oświecania, kształcenia ubogich, (zwłaszcza wyrobników) ale w chrześcijańskim duchu, w uczuciach zgody i życzliwości, a nie zawiści względem materyalnie szczęśliwszych. Niejeden umysł głębszy patrząc na dzisiejszy stan świata, przewiduje, że on się skończy jak świat rzymski zalewem barbarzyństwa, ale nie z nieznanych krajów, tylko z głębi naszych własnych społeczeństw. Zalew ten zburzy wszystko co jest, a potem dopiero jak średniowieczne niegdyś, tak w przyszłości to barbarzyństwo Kościół weźmie i do nowej lepszej cywilizacji wychowa. Przewidywanie bardzo logiczne. Ale ta praca przyszłości, ta praca cywilizacji chrześcijańskiej, zaszczipianej w ciemnych i wydziedziczonych, zaczęła się zawczasu, przed katastrofą, i prowadzi się już przez zakony i misye (Misyonarze, Salezianie, Siostry Miłosierdzia i wszystkie ich naśladowania, polskie Felicjanki i t. d.), przez stowarzyszenia katolickie rzemieślników, przez literaturę za granicą — (nie u nas niestety) — bardzo rozwiniętą i czynną. Że nie prowadzi się bez skutku, dowodzą choćby tylko te deputacje francuskich rzemieślników, które Ojcu św. przyjeżdżają składać hołdy; a słusznie jemu, bo dzieł takich był od młodości członkiem i inicjatorem, jest dziś gorliwym patronem. Jednym z pierwszych aktów jego po wstąpieniu na tron, było pismo do jednego z takich stowarzyszeń we Francji (*Société Olivaint*); najbardziej wszakże znaczącem jest stanowisko zajęte przez Rzym względem amerykańskich *Rycerzy Pracy*. Potężne to stowarzyszenie rzemieślnicze, z katolików w wielkiej części złożone, liczące do miliona już członków, ma za cel obronę pracy przeciw kapitałowi. Biskupi w Kanadzie osądzili stowarzyszenie za socyalistyczne, zakazali go

i zagrozili klątwami. Ale biskupi Stanów Zjednoczonych ujeli się za stowarzyszeniem. Kardynał Gibbons dowiódł w obszernym memoryale, że ten związek nie ma nic wspólnego z pogańskim i przez Kościół potępionym socjalizmem, i w Rzymie *Rycerze Pracy* wygrali sprawę przeciw kanadyjskim biskupom.

Wychowanie? Z gruntu fałszywych pojęć wyrosły wszystkie nasze dzisiejsze obłądki i nieszczęścia. Dawne pogaństwo i nowoczesny racjonalizm połączyły się z sobą chemicznie, i wydały jako produkt filozofię, która rozmaicie ale zawsze fałszywo uczy człowieka pojmować siebie, swoją istotę, i swoje przeznaczenie. Odkrywa się zawsze z czasem nieprawda i czczość każdego systemu, ale w miejsce odrzuconego występuje inny niemniej fałszywy, a wszystkie razem wytworzyły powszechną nad światem atmosferę paradoxu, którą wszyscy oddychamy — nawet ci co nie chcą — a z nią wciągamy wyziewy mgliste i odurzające, które nam jasność myśli mącą i do prostych prawd prostą drogą rozsądku dochodzić nie dają.

To także jeden z korzeni złego, do którego siekierę trzeba przyłożyć; trzeba wykształceniu powszechnemu, oświacie powszechnej, dać podstawę pojęć filozoficznych prostych, zgodnych z rzeczywistością, z naturą człowieka i z Bożą o nim myślą. Naprzeciw wszystkich filozofij pogańskich lub po niemiecku racjonalistycznych, materyalistycznych i nihilistycznych, trzeba postawić filozofię chrześcijańską i w tej przyszłe pokolenia chować. O marności tamtych przekonało się wielu, a to przekonanie przygotowało ich dobrze do przyjęcia czegoś rzeczywistszego i rzetelniejszego. — I widzi się niespodzianie to, czemu od trzech wieków nikt nie byłby wierzył. Filozofia średniowieczna, ta zapomniana i wzgardzona, ta niby ciemna i śmieszna, ta mumia zachowana dla ciekawości w gabinecie archeologicznym filozofii, kryła w sobie jednak prawdy, do których nam trafić tak trudno? Zdawała z nich sprawę jasno i określała je dobrze?

W tej samej chwili, kiedy filozofia bezbożna dochodzi do negacyi ostatecznej i staje się „filozofią nieświadomości“ a zaprzeczeniem wszelkiej godziwości lub niegodziwości, wstaje naprzeciw jak z martwych filozofia chrześcijańska, nie spowita jak dawniej ciasno w formułki i subtelności, ale wyostrzona i zbogacona wszystkimi zasobami i sposobami jakie wieki przyniosły, i dopomina się, domaga się swego prawa i swego miejsca między naukami, mówi: że ona jest także (i ona jedna naprawdę) *causarum cognitio*. A nie to dziwne, że ją jedni przyjmują z zapalem i czcią, ale to, że drudzy tego miejsca zaprzeczyc i odmówic jej nie mogą.

W tem odrodzeniu chrześcijańskiej filozofii, Leon XIII ma część największą zasługi i inicjatywy. Przed czterdziestu laty, kiedy nikomu ani się śniło jeszcze, on w swoim seminaryum, później w swojej akademii w Perugii, wskrzesił to studyum, a z papieskiego tronu on uczynił je powszechnem w całym katolickim świecie. Encyklika *Aeterni Patris* (5go sierpnia 1879) dała hasło; a jeżeli z czasem pokolenia na takiej filozofii chowane, będą rosły prościej a żyły szczęśliwiej, bo ich pojęcia będą jaśniejsze, a woła więcej niż nasza poddana sumieniu, do Leona XIII jako do początku tego dobra, tego prawdziwego postępu, będą miały zwracać się z dziękczynieniem.

Ale na filozofii nie dosyć. Historia także zarażona duchem niechrześcijańskim, sama wielorako sfałszowana, fałsz szerzy i do jego panowania się przyczynia. I jej drogi trzeba sprostować, i ona musi się exorcyzmować z fałszu, sama, własnymi rękami i siłą historycznej prawdy. Innej obrony dla Kościoła w historii Leon XIII nie szuka, nie potrzebuje; na tę liczy z ufnością i pewnością. I śmiało od razu jedną ręką otwiera światu przystęp do watykańskich archiwów, a drugą (w piśmie do kardynała Hergenröthera 18go sierpnia 1883 r, do arcybiskupów i biskupów piemonckich i lombardzkich z 25go stycznia 1882 r.) wskazuje naukę historii jako konieczność dla Kościoła,

jako środek obrony przed potwarzą, jako środek walki z przeciwnikiem, tarczę i oszczep zarazem. Wspaniałe te pisma godneby były przytoczenia w całości: ale kiedy niestety nic przytaczać nie możemy, to powiemy tylko, że od wieków nie widziało się Papieża, któryby był takim dzielnym patronem, takim miłośnikiem, takim prawdziwym odrodzicielem nauk. Nie ma mocy ni środka podnosić je w zakładach świeckich: ale tam gdzie może, od duchownych, żąda ich koniecznie, i wiele, i wszechstronnie. Czy dlatego tylko, że jak jego poprzednicy z czasów humanizmu, rozmiłowany jest w piękności i zacności nauki jako takiej? Jest nim zapewne, ma upodobanie nawet w ozdobnych formach, cóż dopiero w mądrej treści. Ale nie o to chodzi mu głównie. On wie, że Kościół w walce potrzebuje zbroi; że napadany przez wszystkie nauki razem, musi ich własną bronią napaść odpierać; że jeżeli chce walczyć ze skutkiem, to musi być tak uczony jak przeciwnicy, żeby zawsze przejrzeć i zbić zdołał, co w ich nauce błahe albo fałszywe. Prostaczków uczyć katechizmem i przykładem. to wiele. ale to nie dosyć; bo oprócz prostaczków są wykształceni i są uczeni, którzy mają także dusze do zbawienia, sumienia do naprostowania; i umysł nie ćwiczony względem tych swego obowiązku pasterza i apostoła nie wypełni. A nadto wyrób myśli i wiedzy tych właśnie wykształconych i uczonych, dostaje się do ogółu stopniowo, przenika go, pojęcia i sumienia wszystkich aż do prostaczków krzywi albo prostuje, wedle tego, czy sam jest krzywy lub prosty. I dlatego to księża potrzebują przynajmniej tyle nauki co świeccy, dlatego Leon XIII przykazuje w rzeczonym piśmie, żeby się stan duchowny nauką i wykształceniem (*doctrinarum cognitione*) odznaczał, żeby nawet dobrem wychowaniem (*urbanitate*) świecił: żeby pamiętał, że wielki wróg Chrystusa, Julian Apostata, dobrze wiedział co robił, kiedy chrześcianom zakazywał ćwiczyć się w naukach wyzwolonych.

konań katolickich, a w tym zdaje nam się, różnice nie są wielkie w „Polsce pod trzema rządami.“

Że ku religijnemu odrodzeniu i u nas zrobił się krok znaczny, to pewna. Naiwna wiara i pobożność rzewna, była za dawnej Rzeczypospolitej wśród warstw wykształconych powszechniejsza; dziś u prostego ludu jest zapewne jeszcze taką jak była, choć złe nauki zaczynają przesiąkać aż do niego. Między oświeconymi za to, których koło rozszerzyło się bardzo co do swego zakresu, a zmieniło co do swego składu, będzie niewątpliwie w stosunku do liczby mniej wiary i pobożności niż dawniej. Ale w tej liczbie mniejszej znajdzie się za to nowość dawno niewidziana: katolickie wykształcenie, znajomość swojej religii i wyrobiona jej świadomość, uczucie podszyte przekonaniem i niem wzmocnione, przekonanie ogrzane uczuciem. Że to jest i że wpływa nawet na nasze postępowanie, rzecz jest widoczna, do iedziona zwłaszcza na stosunkach i wypadkach kościelnych w Wielkopolsce. Nie próbujemy wskazywać ile w tem czyjej zasługi, naprzykład duchowieństwa; jak naodwrot nie możemy roztrząsać, w jakiej mierze wpływy książek i dzienników mogły obniżyć poziom religijny u szlachty, lub jak (w Galicyi przynajmniej) wpływy niemieckie i Józefińskie przyczyniły się też znacznie do tego, że ten poziom nie podniósł się wyżej u oświeconej ludności miejskiej.

Uważając wszakże, że jest pod tym względem lepiej niż było, nie możemy zarazem nie uważać, że nie jest tak dobrze jak u innych narodów. Ta jakaś leniwa wygodność, która jest na nieszczęście w naszym charakterze, i była w naszych staropolskich religijnych uczuciach, poprawiła się cokolwiek niezaprzeczenie, ale więcej jej zostało niżeli ubyło; i w działaniach dzisiejszych katolików polskich ona zawsze daje się widzieć. Nie o to nam chodzi, bynajmniej, iżby katolicyzm polski stał się zaczępnym i wojowniczym; niech nas Bóg broni od szerzenia nienawiści do różnowierców i od chęci ograniczenia ich w pra-

wach nabytych. To gdyby nawet było możliwe, byłoby moralnie złe, a praktycznie szkodliwe. Ale więcej czujności, więcej pilności, więcej energii w obronie swojej wiary, swoich zasad i przekonań, oto czegobyśmy pragnęli. Nam się zdaje — nam przynajmniej w Galicyi, gdzie dzięki Bogu nie znosimy nietylko prześladowania, ale nawet ograniczenia religijnej wolności — że nie ma żadnego pod tym względem niebezpieczeństwa. Lud widzimy zawsze w kościele, sami do niego chodzimy, w szkołach wiejskich jest katechizm, a w średnich dogmatyka i etyka; procesye chodzą wolno po rynkach, biskupom ustępuje się kroku przed świeckimi, do Papieża pisze się adresy... czegóż więcej potrzeba, i czegóż się bać?

A tymczasem i trzeba więcej, i bać się jest czego. Nie mówię o tej gwałtownej zagładzie wiary przez dezorganizację Kościoła, którą prześladowanie spowodzić może, jeżeli go Bóg nie odwróci i nie przerwie; przeciw temu doraźnie skuteczną mogłaby być tylko siła fizyczna, której nie mamy. Ale są niebezpieczeństwa wewnętrzne. przeciw którym doskonale moglibyśmy działać, a nie działamy; bo albo nie umiemy dojrzeć, albo nie chcemy uwierzyć że one są, i że groźne. Dozwalamy więc spokojnie i leniwo, żeby rosły, nie bacząc na to, że one przygotowują nas pomału i nieznacznie, ale niewątpliwie, do zupełnej niezdolności oporu i obrony w razie prześladowania, ba, może nawet do braku chęci takiej obrony: przygotowują grunt czy pod prawosławie, czy pod bezbożność zupełną. Chłop podlaski wytrzymuje prześladowanie nieraz jak bohater i męczennik! gdyby rząd rosyjski wziął się taksamo do łacinników, czy szlachcie polski lub oświecony obywatel miasta, miałby podobną odwagę i stałość? Niejeden, — wierzę, ale w proporcyi, w mniejszej może liczbie.

Ta odpowiedź, którą dać musi każdy z nas, jeżeli zechce być szczerym, prowadzi do wniosku, że nasze religijne usposobienie nie jest tak dobrem i silnem, jak nam się zdaje. Osłabiło je i w osłabieniu trzyma od kilku po-

koleń wychowanie jakie odbieramy, książki jakie czytamy, dobroduszną łatwowierność jaką mamy prawie wszyscy, i ten wygodny wstręt do otwierania oczów na niebezpieczeństwo, bo to widok nieprzyjemny.

A jednak ludzię się nie możemy; nienawiść Kościoła, walka z Kościołem, jest u nas jak wszędzie. Miarkuje się i rzadko kiedy odezwie się głośniejsz; trzeba stósować się do społeczeństwa, tak jeszcze pod tym względem zacofanego, że śmiały apostoł bezbożności miałby słabe widoki powodzenia; prócz tego mógłby w czasach prześladowania Kościoła przez Rosyę, obrazić uczucie narodowe i od siebie odstręczyć, gdyby przeciw Kościołowi występował. Wreszcie, powód szlachetniejszy, instynkt polskiego uczucia które u naszych rewolucjonistów dotąd jeszcze nie znikło, wstrzymuje ich od stanowczych w tym kierunku kroków obawą działania na korzyść Rosyi. Rzadko się zdarzy, żeby pismo jakie wystąpiło z otwartą propagandą bezbożności, chyba już najgrubsze tylko i... najostatniejsze — (w Warszawie częściej niż u nas). — Ile wiemy, raz dotąd zdarzyło się otwarte, tryumfalne oświadczenie, że ktoś umarł bez Sakramentów, i to wtedy dopiero, kiedy wskutek poprzedniego wprost przeciwnego oświadczenia, pogrzeb tego zmarłego już się był odbył po katolicku. Ta potrzeba udawania i kłamstwa dowodzi, że zbyt jawnie i głośno występować jeszcze nie można. Ale choć formy są łagodne, to działanie jest systematyczne i nie bezskuteczne, a postęp w tym kierunku znaczny, i jeżeli u jednych przybywa przekonai, to u drugich ubywa tradycyjnego przywiązania do wiary.

Te same dążności i sekty, które pracują nad rozprzężeniem Kościoła i społeczeństwa świeckiego za granicą, są i u nas, w różnych formach, od gładkiego i elegancyjnego liberała aż do dzikiego radykała, a w dwóch głównych odcieniach. Jeden, powszechniejszy w Galicyi, możnaby nazwać niemieckim, drugi ma wyraźną cechę rosyjską. Ten pierwszy wychowany na niemieckich książkach

i dziennikach, o tyle jest szlachetniejszy, że przez rok 1848 łączy się z dawną rewolucyjną emigracją polską i zachował pewien zasób uczuć polskich, które w tamtej były istotnie prawdziwe i silne, choć bardzo skrzywione, a nigdy nie kierowane rozumnym względem na dobro i korzyść sprawy polskiej. Jak w schizmie greckiej został pomimo wszystkiego charakter kapłański, tak ten odcień liberalistów i rewolucjonistów, dzięki swojemu choć uboższemu pochodzeniu od emigrantów z roku 1831, zachowuje jeszcze dotąd jakieś tradycje i jakieś ideały szczerze (choć nie dobrze) polskie. Jak długo jeszcze zachować je potrafi, tego oczywiście wiedzieć nie można; to pewna, że choć najgłośniej o patriotyzmie mówi i wszystkich innych o brak jego oskarża, sam coraz bardziej traci świadomość jego istoty i warunków.

Odcień rosyjski znowu, którego zarody może są dawniejsze, ale wzrost i rozszerzenie nastąpiły już po roku 1863, który zatem nie chował się i nie kształcił na szlachetniejszych, podnoszących, narodowych uczuciach i namiętnościach, ale karmił się pierwiastkami zwątpienia we wszystko, prócz fizycznej mocy, ten może także ludzi się sam, że ma polskie uczucia i cele, ale polskiego charakteru i tego wrodzonego instynktu zachowania siebie, jaki narody miewają, on nie okazuje. Jego świadomość polska rozplywa się w jakiejś nieokreślonej, fantastycznej fuzji demokratycznej i słowiańskiej, która, przypuszczamy, że może przez jakiś czas będzie rzeczywistością, ale nie będzie nigdy ani cieniem, ani zawiązkiem Polski, bo rozpuszcza chemicznie wszystkie składowe istotne pierwiastki narodowego charakteru i bytu.

Ze pomimo tych różnic, jest między nimi zgodność w celach, a prawdopodobnie porozumienie w działaniu, to tak prawdziwe, jak i to, że my nie zwracamy uwagi na to działanie, bo jego skutki dotąd nie są rażące. Gdybyśmy jednak chcieli zważać pilnie na dziennikarstwo i na piśmiennictwo niby postępowe. tak w zaborze rosyjskim,

niełaskę " Znajdą się tacy co pokusę odepchną i zawstydzą, ale czy wszyscy? czy nikt nie uwierzy? A dalej — czego niech Bóg strzeże — czy tej pokusy nie zechcą użyć Prusacy sami, i folgą dla języka, schlebaniem narodowości, uwodzić nas do odstępstwa, do swego luterstwa. o tem i mówić strach, żeby im tej myśli czasem nie podsanać. Strach i o księży, żeby się zwolna psuć nie zaczęli i z zależności od rządu nie przeszli niektórzy w zbytnią dla niego powolność. Strach wreszcie o to, żeby przez nominacye kanoników i proboszczów, rząd nie użył ręki Kościoła samego do tego dzieła zagłady które prowadzi, a wtedy nowy tryumf i nowe ułatwienie dla nieprzyjaciół wiary, nowe pokusy i niebezpieczeństwa.. Taki strach, że nie do Papieża już, ale do samego Boga chce się wołać: „czemuś nas opuścił?“

Nie opuścił W naszym zachowaniu się jest dowód, i z siebie tym razem mamy czerpać otuchę. Kiedy w r. 1832 Grzegorz XVI w nieznajomości wydał sąd jednostronny i uprzedzony o powstaniu roku 1830, wielu z nas przez obrażony patryotyzm zachwiało się w wierze i odstąpiło od Kościoła. Sam ten Mickiewicz, który zrazu jeden umysły łagodził, owszem, dziwił się raczej że Papież nie był surowym, nawet on tak tę pomyłkę wziął do serca, że po latach wybuchał z niego żal, i ten żal z pewnością przyczynił się bardzo, jeśli nie głównie, do jego nieszczęsnego odstępstwa. O Słowackim już nie mówić; innych nie tak znanych ale liczniejszych, to samo uczucie albo pchnęło do bezbożnej rewolucyjnej negacyi, albo przygotowało do herezyi Towiańskiego. Dziś boleść większą, i rzeczywiście szkodę, przyjęliśmy z ręki Papieża bez szemrania. Dzienniki katolickie wyraziły ból, ale się nie skarżyły; inne, które zdawało się uchwycą sposobność, żeby na Papieża i Kościół uderzyć, jednak nie śmiały. Stańczykom przypisywały winę (!), na Leona XIII się nie zewwały; chyba tylko najostatniejsze, najbudniejsze już piśmiła. Nie trzeba cieszyć się zbyt, ani zuchwale

ufać że to się zmienić nie może; ale to co jest dotąd, do rodu, że katolickie przekonania i powaga Papieża musiały w narodzie wzrosnąć i wzmocnić się bardzo, jeżeli w takich przykrych stosunkach zachowanie się ogółu było tak uległe i poważne. Tego samego dowodzi przyjęcie i stanowisko wśród nas arcybiskupa Dindera, którego, kiedy przychodził, nie mogliśmy znać wartości i prawości; dziś szanowany jest sam dla siebie, ale wtedy przyjmowany był z uległością i uszanowaniem, bo go Papież przysyłał. To nie jest mało, bo to wszystko dowodzi i rozumu, i mocy nad sobą, i wreszcie dokonanego już znacznego postępu na drodze katolickiego odrodzenia narodu.

I w tem też jest otucha, że złe jakie cierpimy nie przyniesie nam szkody, nie zachwieje naszej wierności ani dla Boga, ani dla Ojczyzny; że nie osłabi naszego ducha, ale go owszem wzmocni. W mądrym postępowaniu, w posiadaniu siebie samego, jest tajemnicza władza wzmocnienia; a większa jeszcze jest w duchowem, religijnem życiu, w związku każdej duszy ludzkiej i samego społeczeństwa z Bogiem. I w tem właśnie jest dowód, że jak Bóg, tak i Papież nas nie opuścił. Nie, nie oddał na łaskę i niełaskę, nie wydał na zagładę Wielkopolski, kiedy pod formą prawda przykrą — (a inaczej nie mógł) — przywrócił jej ten oddech duszy, ten pokarm łask, który życie utrzymuje, sumienie prostuje, woli daje hart i tęgość, łączy człowieka z Bogiem, ziemię z niebem, nieszczęście ze zmiłowaniem. Nie opuścił Leon XIII Wielkopolski, ale ją owszem pokrzepił i uzbroił na przyszłość, kiedy jej zapewnił życie duchowe choćby w takich warunkach i formach. Warunki wszelkie zmieniają się z czasem: a gdyby dziś nie było nawet takich jak są, kto wie, czy z czasem sama istota rzeczy nie zaczęłaby ulegać jakiejś zmianie.

Biskupi, prawda! Ich usunięcie musi nas boleć bardzo. Nieszczęściem, tak jest zawsze, że kiedy spór jaki ma się skończyć, muszą ustępować ludzie, którzy w nim mieli

pierwsze role i pierwsze najczęściej zasługi. Tak jest w sprawach świeckich, i tak, a jeszcze bardziej w sprawach rządów z Kościołem. Rząd, który się układa i coś ustępuje, mieści swój punkt honoru, swoją mniemaną godność w tem, żeby nie był zmuszony patrzeć na ludzi którzy mu się opierali; i od tego najtrudniej, od tego nigdy nie odstępuje. Kiedy Pius VII zawierał konkordat z Napoleonem, bronił do ostatka biskupów Kościołowi wiernych, a przecie dwudziestu przeszło, i to najwierniejszych właśnie, najdzielniejszych, musiał poświęcić. Leon XIII nie zdołał utrzymać kardynała Ledóchowskiego ani biskupa Janiszewskiego, jak Arcybiskupa kolońskiego także. Leszek Biały mógł zrzekać się panowania dla miłości przyjaciela: ale Papież, kiedy biskupa na jego stolicy przeciw przemocy władzy świeckiej utrzymać nie może, nie ma prawa zostawić dyecezyi bez biskupa i zarządu, i musi przyjąć rezygnacyę tego, którego nie raz właśnie ceni i miłuje najbardziej.

Jedno jest jeszcze, czem wedle ludzkiego mniemania w ukrytej a ciężkiej pracy swego ducha zajmować się ma Leon XIII, to pytanie, jak się obróci i skończy dzisiejszy stosunek Papiestwa do Włoch. Zawsze tak zostać nie może, to jasne: a sposobu wyjścia nie widać. Ludzie wymyślają różne jakieś środki i kształty porozumienia, ale to marne wymysły tylko. Dziś to jedno pewne, że to co jest, jest złe, a to co ludzie poddają, niemożliwe. Papież ustąpić nie może, król nie ustąpi. Obok siebie a bez stosunku między sobą, na zawsze utrzymać się nie będą mogli. Jest złe w tem, (jak niektórzy twierdzą umyślnem, a na prawdę koniecznem) zamknięciu się Papieża w Watykanie; nie mniejszem złem byłby jego wyjazd z Rzymu. Zgoda znowu, gdyby nawet stanąć mogła, czy nie spowodowałaby Papieża do takiego wobec świeckiej mocy stanowiska, jakie miał niegdyś w Konstantynopolu patriarcha wobec bizantyńskiego cesarza? A wtedy niebezpieczeństwo albo uszczerbku uniwersalnej powagi i władzy

Papieża, albo gwałtu i prześladowania. Dla Włoch znowu wyjazd Papieża byłby szkodą z niczem niezrównaną: a jego zależność niebezpieczeństwem, że obcy wdadzą się w te sprawy i wtargną w ich ziemię. Ich własne dobro, ich przyszłość, nie pozwala na żadną Papieża podrzędność, i nie już podległość, ale tylko uległość. Że Leon XIII musi rozmyślać jaki będzie kiedyś koniec tego położenia nieuzasadnionego dla jednej strony, a fałszywego dla drugiej, to jest konieczne; ale żeby kroki jakieś stawiał, lub przygotowywał, temu sam zaprzeczył. Nam zaś w wymysły i kombinacye bawić się ani przystoi, ani potrzeba. Na dziś dość nam wiedzieć, że to jakiś stan przejściowy, który (jak wiele podobnych) należy spokojnie przetrzymać; na przyszłość dość wiedzieć, że jak Bóg wyjdzie z tego stanu nadarzy, to je Papież — ten lub jego jaki następca — pierwszy zobaczy i wskaże *urbi et orbi*.

IV.

Kiedy zaś mówi się tyle o odrodzeniu Kościoła i o niebezpieczeństwach, jakie mu grożą, to niepodobna i nie byłoby dobrze wstrzymać się od zwrotu myśli na siebie samych, nie zadać sobie pytania, jakie jest naszego narodu wobec jednego i wobec drugich stanowisko i obowiązki? Krótko rozumiem się, bo dzieła-by trzeba, żeby należycie zbadać i opisać dzisiejszy stan Polski pod względem religijnym, a na to ani dość znajomości tego stanu nie mamy, ani dość rozumu sobie nie przypisujemy. Ale co sumienie i zdrowy rozsądek podaje, to w dwóch słowach powiedzieć, nie sądzimy, żeby było złe lub niewłaściwe,

Nie mamy zaś na myśli tych stosunków i różnic, jakie zachodzą w położeniu katolików polskich w skutku różnicy rządów, pod którymi żyją. Stopień, cel, dotychczasowe i prawdopodobne dalsze skutki prześladowania pod rządem rosyjskim i pruskim, zostawiamy na boku. Patrzymy na stan wewnętrzny jedynie, na stan uczuć i prze-

jak tutejsze, przekonalibyśmy się, że rozkład musi być celem, skoro rozkładające są środki działania. Te skutki zaś, których dziś przewidywać nie chcemy, będą oczywiście rosły w stosunku prostym do czasu swego trwania i do liczby ludzi (zwłaszcza młodych), na których środki te działają; i łatwo mogą w przyszłości objawić się w sposób jawny wszem wobec i rażący, ale wtedy radzić na nie i bronić się będzie trudniej.

O jakiej obronie, o jakim odpieraniu tych dążeń myślimy? Cóż można zrobić pod rządem rosyjskim na przykład, gdzie nikomu nawet ochronki dla dzieci utrzymywać nie wolno? Co można zrobić pod rządem austriackim, gdzie naprzód konstytucya zostawia swobodę każdej opinii i dążeń; gdzie powtórę stan społeczeństwa i Kościoła nie wymaga odporu i obrony; gdzie owszem afirmacya silna ze strony katolickiej mogłaby stronę przeciwną raczej zachęcić i wyzwać do walki?

Powtarzamy raz jeszcze, że nie o zaczepność i wojowniczość nam chodzi, tylko o religijność gruntowniejszą i czynniejszą wśród katolików samych, *pro foro interno*. Że ona jest większa niż bywała, to wiemy; świadczą to zakony po raz pierwszy w łonie społeczeństwa polskiego powstałe, świadczą stowarzyszenia miłosierne (jak św. Wincentego à Paulo), świadczą te misye religijne (a zaressem i społeczne) urządzone dla najuboższych jak dla bogatszych i wykształconych (przez Jezuitów i Misyonarzy zwłaszcza); świadczy przedewszystkiem postawa i postępowanie biskupów i znacznej już części duchowieństwa. Między świeckimi wszakże — choć i w nich znaczny postęp jest dokonany — więcej podobno pozostaje do zrobienia, aniżeli już zrobiono, a zrobić da się wszędzie środkami, które ani czujności rządów, ani wrzawy ze strony przeciwnej obudzić nie mogą.

Przedewszystkiem — a może jedynie — trzebaby większej u katolików zgodności między teorią a praktyką, wyznaniem a postępowaniem. Tej stateczności, tej konse-

kwencyi u nas jest brak Niech się godzi opowiedzieć anegdotę, prawdziwą i bardzo charakterystyczną. Lat temu parę czy kilka, jechało dwóch sąsiadów wiejskich na jednym wózku do powiatowego miasta. Przez całą drogę jeden drugiego uczył, że chrześcijaństwo jest odmienną wprawdzie, ale w istocie swojej taką samą mythologią, jak wszystkie starożytne, i że nowsza nauka już to dowiodła zupełnie i klasyfikowała tę kategorię baśni umiejętnie jako *Myt semicki*. Wśród tej dyskusyi o semickim mycie przejeżdżano przez pewną wieś, okok kościoła i probostwa:

— Znasz pan tego proboszcza? — zapytał mytholog towarzysza.

— Nie.

— To szkoda. Doskonały spowiednik; nie znam lepszego w okolicy. Bardzo go panu zalecam. Pójdź pan do niego do spowiedzi w Wielki Czwartek, to się spotkamy przy konfesjonale.

Jestto karykatura zapewne, ale typowa karykatura nas wszystkich, przynajmniej nas bardzo wielu: z tą różnicą, że tu praktyka była lepsza od teoryi, a zazwyczaj bywa odwrotnie, w teoryi dobre uczucie a w praktyce niestatek zasad i postępowania Tu i tam wszakże ten sam fakt: nie ma zgodności pomiędzy naszym religijnem uczuciem a naszym słowem i postępowaniem; bo nie myślimy o tem że ona potrzebna, a my do niej obowiązani; bo dajemy się złudzić i wierzymy łatwo wszystkiemu, co czytamy w jakiej gazecie lub książce, a nie zadamy sobie pracy zapytać, czy też to prawda? tem mniej uzbroić się przeciw fałszom, z którymi każdy spotykać się musi; wykształcić się tak, iżbyśmy je sami choć trochę mogli tylko dla własnego domowego użytku odpierać

Otóż, co dla dorosłych już zapóźno, to dla młodych jeszcze zrobić możemy, a w tem żaden rząd prześladowczy, ani żadna prześladowcza opinia przeszkodzić nam nie może. Chodzi o to naprzód, żeby dzieci nie rosły w tem

wrażeniu i wyobrażeniu, że co katolickie to gorsze; że książka naukowa, napisana w duchu katolickim, musi być tendencyjna i przekręcona; że w teraźniejszości postęp i dobro ludzkości reprezentują przeciwnicy Kościoła; że w przeszłości sprawę dobrą mieli znowu zawsze oni, a nie Kościół. Na takich uprzedzeniach, na takich przesądach chowały się całe pokolenia i tak niemi przesiąkły, że dziś trudno nam wypocić z siebie tego merkuryusza czy jodu. Otóż młodych trzeba zawczasu od nich chronić, i domowym wpływem wychowania, rozmowy, i dostarczanych książek ten wpływ uprzedzać, a ten przesąd zwalczać.

To co czytamy — można powiedzieć wszyscy, powszechnie — jest dalszym dowodem tej niekonsekwencji, dalszym środkiem propagandy antykatolickiej. Trzymamy czytamy, rozszerzamy pisma w duchu protestanckim lub wprost bezbożnym pisane, tak bez uwagi i skrupułu, jak pisma szkodliwe w rzeczach społecznych i politycznych. Zdaje nam się, że to nic nie szkodzi, a dopóki nie spłoszy nas grube bluźnierstwo, zamykamy oczy na „małe i nieszkodliwe”, jak mówimy, zboczenia w dążnościach i opiniach autora czy redaktora. Zupełnie tak, jak żeby w ogrodzie bać się większych zwierząt, które mogą drzewko złamać, ale nie mieć za złe myszy, które podgryzają jego korzenie. Mamy w ręku środek jeżeli nie do zatamowania, to przynajmniej do tamowania złych wpływów; my tymczasem otwieramy im wszystkie śluzy. Czy przez obojętność? W wielu razach tak. Obojętności religijnej jest wiele między wiejską, więcej między miejską ludnością oświeconą. Ale więcej niż obojętność znaczy tu i działa niezgodność uczucia z myśleniem, podobieństwo do tego pana co do spowiedzi chodził, ale z wysokości umiejętności rezonował o Mycie semickim, i brał za dobrą monetę wszystko co o nim wyczytał.

Do obojętnych oczywiście uwag zwracać nie mamy prawa ani zamiaru; ale katolicy powinnyby zastanowić się nad tym chlebem powszednim umysłowym, jakim karmią

siebie, swoje dzieci nieraz swoich podwładnych, a który przechodzi z czasem w ich krew i staje się pierwiastkiem ważnym, siłą dodatnią lub ujemną w religijnej świadomości i religijnem życiu narodu.

To zaś, i wiele rzeczy podobnych, to byłoby dopiero zero na termometrze tego życia, a gdzież jeszcze stopnie ciepła? Jak pomyśleć o tym ogromie czynności, jaki rozwijają katolicy francuscy, niemieccy lub amerykańscy, a potem popatrzyć na naszą bezczynność, to doznaje się i wstydu i strachu. Tem się nie tłumaczmy sami przed sobą że pod rosyjskim rządem nie możemy robić nic, skoro pod austriackim, który nie przeszkadza, nie robimy więcej. Nie możemy jak Francuzi swojemi składkami opędzać *dwóch trzecich części wydatków Propagandy*, i podobno *jednej trzeciej* ogólnych wydatków Papieża! nie możemy jak oni zakładać i utrzymywać katolickich uniwersytetów, ani oświecać setki tysięcy rzemieślników; ani jak Dom Bosco wychowywać do pięćkroć sto tysięcy dzieci; ani jak Niemcy w niezliczonych stowarzyszeniach i corocznych zjazdach dźwigać naukę, moralizować i organizować społeczeństwo, apostołować je pokojowemi i dobroczynnemi środkami. W takiej mierze oczywiście nie możemy; ale na mniejszą skalę czy robimy tyle, ilebyśmy mogli? Są zakony które robią co tylko mogą; ogół świecki jest lekkomyślny i leniwy. Miarą może być choćby tylko świętopietrze. Ześmy biedni, to prawda. Ale wiemy przecie, że potrzeby Kościoła są niezmiernie, a jego dochody ograniczone dziś na to, co mu wierni dadzą; wiemy, co pod tym względem robią inni; wiemy, co nam na utrzymaniu Kościoła zależy. A nie pamiętamy o tem, żeby każdy ze swoich dochodów pewną małą kwotę na to przeznaczył? czy pamiętamy, że z małych i łatwych, byle ogólnych, datków powstają summy dość znaczne? Pod tym względem także moglibyśmy powziąć niejakie postanowienia, w których Wielkopolska daje Galicyi przykład bardzo znaczący. A dopieroż uczestnictwo w ogół-

nem katolickiem życiu: ta chęć, żeby o niem wiedzieć i z niego ciągnąć pożytek? Kto chce ze wspólnego zasobu czerpać, ten go i zasilać powinien; a choć missye naszych zakonów (Zmartwychwstańców w Bułgarii naprzykład, ich i Felicjanek w Ameryce) świadczą, że i nasz naród pracuje na pożytek powszechnego Kościoła, to po świeckich takiej pracy znać mało i mało nawet popędu, żeby z pracy cudzej korzystać. Liczniejsze uczestnictwo w katolickich kongresach uczonych — (których choćby dlatego zaniedbywać się nie godzi, żeby o sobie nie dać zapomnieć tym, co wśród Niemców i Francuzów najmniej jeszcze mają do nas uprzedzeń i niechęci — przysłej wiosny zaraz odbędzie się taki w Paryżu i byłoby nader pożądanem, gdyby nas tam widziano i mądrze mówiących słyszano) — naśladowanie stowarzyszeń za granicą kwitnących, odkładanie pewnej części dochodu na cele kościelne, choćby nie wydać jej od razu, ale na gorsze czasy przygotować, wszystko to są rzeczy, które robić możemy nie obrażając nikogo. A i te gorsze czasy przyjść mogą. Któż nam zaręczy, że w przyszłości jaka parlamentarna większość nie nałoży nam takich warunków wychowania że nie chcąc by dzieci chowały się w bezbożności, będziemy musieli sami szkoły wyznaniowe zakładać i utrzymywać?

Kiedy w roku 1850 ksiądz Kalinka był jako korespondent *Czasu* na wystawie w Londynie, ubolewał gorzko, że między narodami i dziełami całego świata, jednej tylko nie znać w żadnym dziale Polski. Jubileusz Leona XIII jest podobną wystawą powszechną katolickiego świata. a na tej jak będziemy wyglądali? Nie o wystawę darów złożonych Papieżowi mi chodzi, choć i o tej mogliśmy byli pamiętać, skoro pamiętała o niej i miejsce swoje mieć w niej będzie Wielkopolska. To zapomnienie zresztą naprawić jeszcze możemy składaniem obfitszych ofiar pieniężnych, które biskupi w swoim czasie od nas zawiozą i oddadzą. Ale gdyby tak zrobić obliczenie i wystawę kato-

lickich dzieł i katolickiego życia, to na takiej zajmowalibyśmy miejsce podobno wcale podrzędne. Otóż, kiedy będziemy na niej osobami naszymi, zaświećmy na niej przynajmniej jednym: przyrzeczeniem danem sobie samym, że kiedy pierwszy raz w przyszłości zdarzy się znowu taki wielki przegląd katolickich narodów przez Papieża, nasz wtedy będzie mógł przyjsć tam z bogatszymi owocami prac i dzieł katolików świeckich. Jeżeli, co łatwo być może, nie stać nas będzie na świetne złoto i kadzidło Trzech Królów, to niechby były dary skromniejsze, byle własne, ze swego gospodarstwa, jak ten garnek masła i worek gruszek, które Stach i Kuba z kołędzy zaniesli do Betleemskiej stajni.

Teraz zaś, choćby najskromniej, ale jak się da licznie — (chyba że nas, broń Boże, nie puści ta wojna o której świat mówi) — zajmijmy swoje miejsce między narodami otaczającymi tron Ojca św. Zaniechanie tego obowiązku byłoby występkiem zaniechaniem swojego prawa, rodzajem zrzeczenia się swoich praw, i odrzekania się swojej wiary. Zabraknąć nas tam nie powinno; nie ma też o tem mowy, czujemy powszechnie że powinniśmy i dać się widzieć na tej wielkiej uroczystości katolickiego świata, i ją z uszanowaniem i przejęciem oglądać.

Wspomniały-bo jest zaiste, a od tylu wieków nieznany, że prawie dla Europy nowy ten widok, jaki dziś z siebie daje Papiestwo. Jego świeckie panowanie i jego dochody zabrane; jego swobodne rządy mniej lub więcej ale wszędzie krępowane; jego racya bytu, jego sposób bytu, jego prawo i jego prawda, podkopywane w całym świecie przez niechrześcijańskie sekty, których teorye szerzy nauka, literatura i dziennikarstwo, a rządy i parlamenty wszędzie prawie zamieniają to słowo doktryn w ciało praw i urządzeń. A mimo to nigdy, odkąd reformacya zburzyła jedność chrześcijańskiego świata, nigdy powaga i władza Papieża nie była tak jawnie, tak powszechnie uznana. Za miarę i dowód brać możemy właśnie sekundyce Leona XIII, na

które garnie się do Rzymu świat tak tłumnie, jak niegdyś na wielki jubileusz roku 1300. Bogate dary książąt (najmniej nawet chrześcijańskich), choćbyśmy je najbardziej dworską grzecznością chcieli tłómaczyć, mają swoją wagę nie małą i nie mało dowodzą, jeżeli porównamy tę, dajmy że grzeczność tylko, jakiej przedmiotem jest Leon XIII, z tą, na jakiej poprzestawali jego poprzednicy. Ale te dary i hołdy oczywiście są niczem w porównaniu z ogromnem znaczeniem tych, jakie płyną od milionów katolickiej ludności, ofiary na potrzeby Kościoła, przyrzeczenia wierności od wszystkich narodów, od duchownych i świeckich, od wielkich panów i wyrobników, od licznych a nieraz potężnych stowarzyszeń, z obydwóch połów kuli ziemskiej. Ta ostatnia okoliczność zaś jest istotnie zupełną dla świata nowością. Może kiedy Krzysztof Kolumb wracał z pierwszą wiadomością o odkryciu Ameryki, może Papiież marzył o dniu, kiedy z tych nowych lądów biskupi i wierni przypłyną z hołdem do Rzymu; ale potem wieki przeszły, a nikomu nie śniła się nawet nadzieja tej w Ameryce siły Kościoła, na jaką my patrzymy.

Tylko nie trzeba cieszyć się śmiało, a tembardziej myśleć, że to jest dobro na zawsze nabyte, którego w spokoju mamy używać. Nieprzyjaciół także mocniejszy jest niż kiedykolwiek, i pewno w zamachach swoich nie ustanie! może zechce sił swoich w walnej bitwie spróbować; a wtedy Bóg jeden wie, jakie czekać nas mogą losy. Niedawno pisarz jeden francuski — jeden ze świetniejszych między młodymi ¹⁾ — zdumiony tą żywotnością i rozprężliwością Kościoła, wróżył mu przyszłość tak wielką, że w tej wielkości mały Rzym, małe Włochy, mała Europa, zejda do nic nieznaczących rozmiarów, tak, że Papięże sami ledwo na nie zważać będą. Ta przepowiednia oznacza, że autor musi być dyletantem w katolicyzmie;

¹⁾ M. de Vogüé: *Les Affaires de Rome, Revue des deux mondes* 15 czerwca 1887.

inaczej czułby, że Papież musi zawsze stale być w Rzymie; tam, gdzie umarł św. Piotr, tam jest środek ciężkości tej opoki, na której zbudowany jest Kościół. Ale czy jaka przyszła burza na czas nie wyrzuci go z Rzymu? to inne pytanie. Kiedy między temi godłami Papieży, w których świat lubi uważać tajemniczą przepowiednię ich losów, widzi się niedługo po Leonie XIII jakiegoś Papieża, który ma być *Pastor et Nauta*, myśli się mimowolnie, że może z Europy wyrzucony, będzie musiał ten żeglarz przepłynąć Ocean, żeby paść swoją owieczarnię ze spokojniejszych łądów Nowego Świata.

Kiedy na r. 1300 dążyły do Rzymu tłumy pielgrzymów, przejmował je także dreszcz jakiegoś niepokoju, przecucie czegoś nowego i nieznanego; przecucie to nie całkiem było mylne. „Nous prenons souvent pour la fin du monde ce qui n'est que la fin de nos idées“²⁾ — a wtedy miało się właśnie pod koniec tym pojęciom i formom, w których żyły wieki średnie, pierwiastki nowszych zaczynały wydobywać się z pod ziemi nieznaczące jeszcze i zaledwo dostrzegalne, jak słabe źdźbła na wiosnę. Jak średniowiecznemu wtedy, tak dziś ma się pod koniec nowożytnemu światu, i gorzej, boleśniej. bo „wszystko co w nim żyło psuje się rozprzega i szaleje,“ prócz jednego tylko. I znowu jak wtedy, a może tak tłumnie jak od owego czasu nigdy, ciśnie się ludzkość do Rzymu w przecuciu i strachu czegoś nieznanego, nowego, groźnego...

Czem będzie ten świat nowy, który się w łonie naszego chaosu formuje? Ksiądz Kajsiewicz mówi w jednym ze swoich kazań, że Islamizm był buntem zmysłów przeciw chrześcijaństwu; po tym przyszedł z protestantyzmem bunt ludzkiego rozumu; a teraz jest trzeci i najgłębszy: bunt woli, woli społeczeństw całych, które chcą się urządzić bez Boga, na podstawie nie Jego praw, ale swoich jedynie, z siebie wydobytych, przez siebie

²⁾ Klaczko: *Causeries Florentines*.

wymyślonych. Ten bunt trwa i szerzy i sroży się im dalej tem bardziej, a do swego najwyższego punktu jeszcze nie doszedł, jeszcze ten potop wszystkiego nie zalał: ale być może że zaleje, a wtedy?...

Wtedy znowu nad straszliwem pobojowiskiem „Nieboskiej Komedyi“ zjawi się krzyż, i z „myśli Bożej“ wysnuje się świat nowy,“ który o naszym powie

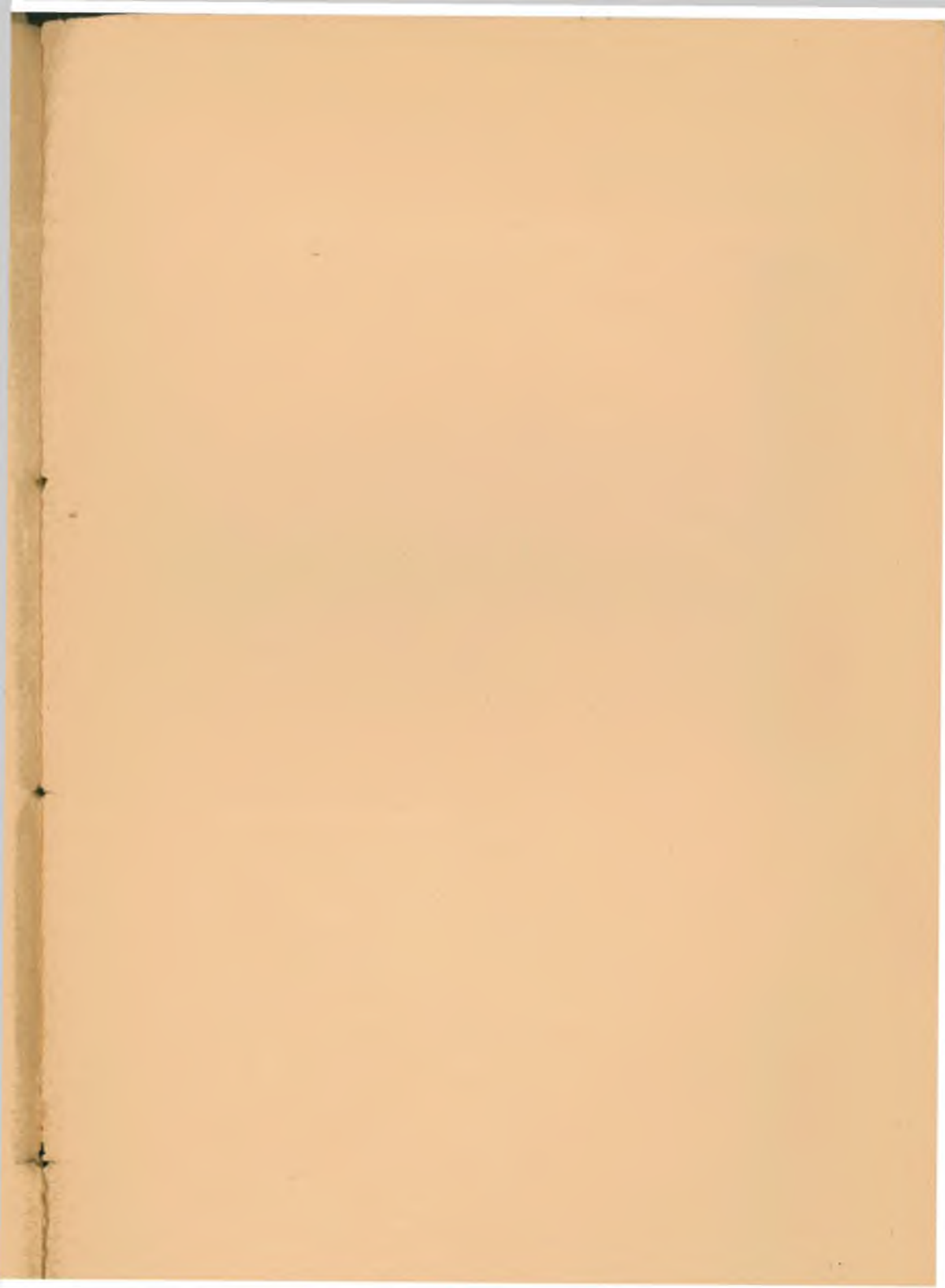
„Pensa che in terra non è chi governi
Onde si svia l'umana famiglia.“

I wtedy uzna, że wola nie może być w buncie przeciw sumieniu, jeżeli ta ludzka rodzina nie ma być rodziną „bestyj“ pożerających się nawzajem“; a że sumienie także obłąkać się może, więc potrzebuje Bożego prawa, i kogoś coby miał moc i urząd wskazywać to prawo i przypominać. Może być, że po jubileuszu Leona XIII, jak niegdyś po jubileuszu Bonifacego VIII, stary świat zacznie trząsć w swoich spojeniach i rozpadać się do reszty; ale to pewna, że jak w tym starym jedno tylko jest, co się nie rozprzega i nie szaleje, tak w owym przyszłym to samo znowu pierwsze się poczuje w sile, stanie na nogach, i bezprzytomnie leżących pierwsze zacznie cucić, podnosić i odżywiać. „Nowo-Zelandczyk usiedzie na zwalonej arkadzie Londyńskiego Mostu i będzie z niej rysował widok ruin św. Pawła, a Kościół katolicki będzie stał jak stoi“ — mówi wielki historyk protestant. Po naszymu nazywa się to, że go „bramy piekielne nie przemogą.“ O, niechże ci, na których te bramy chcą się zawalić i zatrzasać na wieki, niech się trzymają pilnie i silnie, niech się trzymają gwałtem w środku tego Kościoła, który wszystkie przemoce ostatecznie przemódz musi.

W roku 1300 chłodził na pierwszy wielki jubileusz Lokietek, wydziedziczony, wygnany, bez żadnych przed sobą widoków lepszej przeszłości; a potem jakoś mu Bóg poszczęścił. Nie trzeba upatrywać naciąganych podo-

bieństw, a tem mniej z naciągniętych wyciągać pociechę
czy wróżbę; ale można pragnąć i Boga prosić, żeby ten
ówczesny pielgrzym był figurą narodu, który w sześćset
prawie lat po nim, w podobnym stanie i na podobny od-
pust, wybiera się *ad limina Apostolorum*.







Biblioteka WSP Kielce



0174907

